

NR 40
lipiec-sierpień
2002

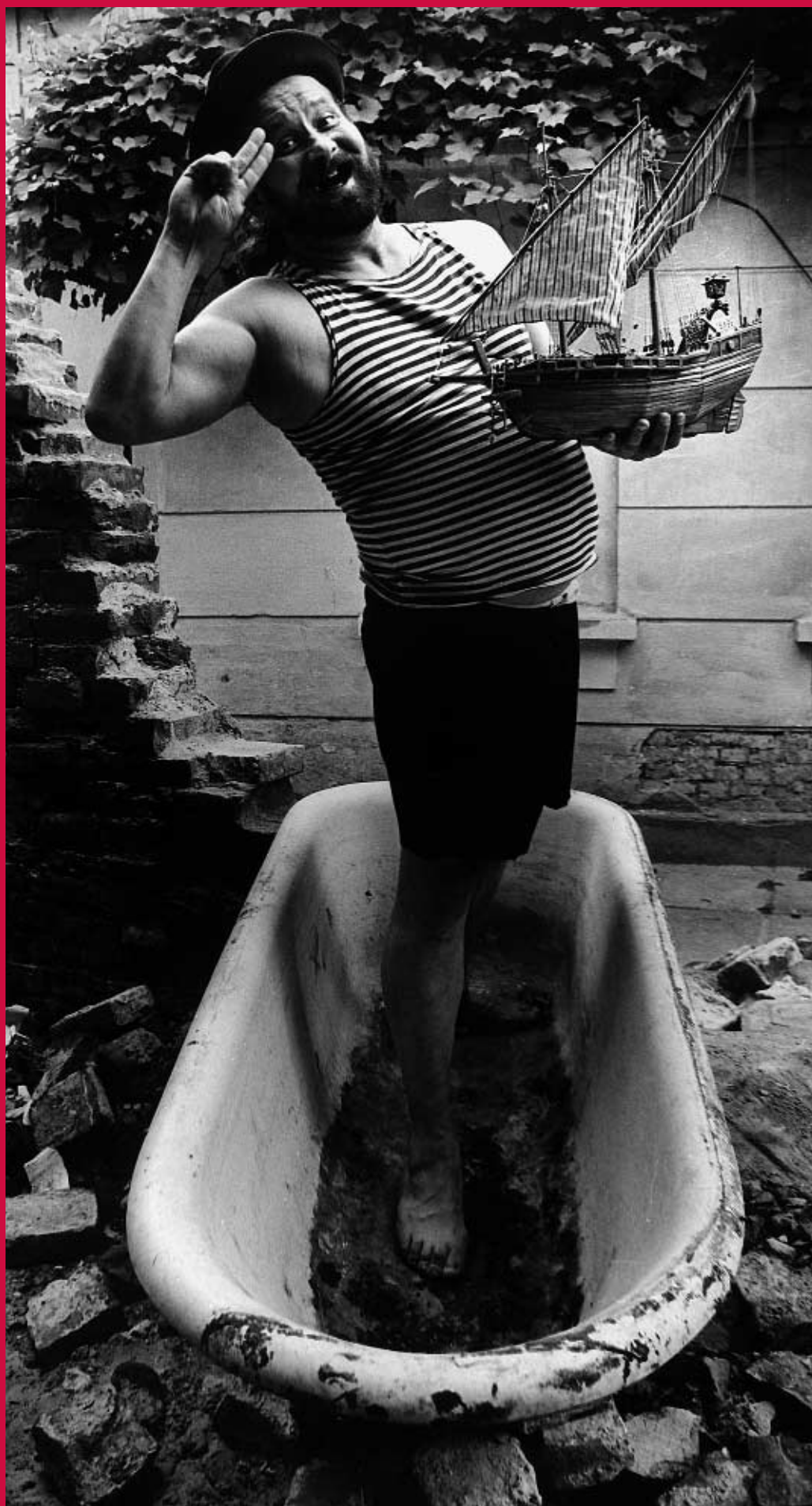
aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY

ISSN 1427-8812 CENA 1,50 Zł

W NUMERZE:

Borowik o LuLu * Marjańska o najważniejszych... * Piwowarski o serdelku * Ratusiński o kocich łbach





Arkadiusz Zajac „Triada (Anioły mojej Matki)” 2001-2002 – ołówek, akryl

SPIS TREŚCI

z perspektywy błazna	4
ze sztuką na ty	5
historia literatury	7
poezja	9
reportaż	11
zapiski o świcie	12
proza	14
recenzje	19
obserwacje	25
z miasta	28
plastyka	32
galeria	33

aleje 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

Numer zrealizowano przy pomocy
środków budżetowych
Samorządu Województwa Śląskiego



WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny

KRYSTIAN PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

ŚLAWOMIR BURSZEWSKI
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta
ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

DTP



ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa
tel. (034) 371 07 89
<http://www.emediapro.com.pl>

DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**

Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjeżdżących do druku.

*„Dzisiaj ludzie wolą oglądać wyczyny lekkoatlety
Zamiast słuchać płaczu poety”*

„Agressiwa 69”

Ten sympatyczny refren piosenki grupy „Agressiwa 69” pozwoliłem sobie zamieścić jako motto niniejszego artykułu, gdyż uważam go za znak czasu. Dostępność i przyswajalność kultury dla szerokich mas społeczeństwa jest dzisiaj znikoma, natomiast wielkie triumfy w powszechnej świadomości święci sport. Jest łatwiejszy do konsumpcji, rządzi się prostymi zasadami, można być z kogoś dumnym. W czasach, gdy Małysza zna każde dziecko w przedszkolu, prezydent RP chętnie je kolację z super bokserem Michalczewskim, a piłkarski mundial oglądają na świecie blisko 3 miliardy ludzi, nie jest to zjawisko dziwne. Podczas Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych, kiedy frustracja społeczna osiągała zenit, zdesperowani obywatele chętnie lokowali swoje emocje i marzenia w idolach sportu, gdyż na arenie sportowej widzieli walkę, która w ciężkich czasach jest sensem codzienności dla wielu. Sztuka, niestety, zmusza do myślenia, refleksji, kontemplacji – czynności określanych przez reżimy totalitarne jako degenerujące. Nie płaczymy więc, że duch w narodzie upada, bo tężyżna fizyczna rośnie. Przesadziłem – na tężyżnę też potrzebne są pieniądze i ogólny dobrobyt. Rośnie zatem fascynacja siłą mięśni, a co za tym częściej idzie – przemocą i agresją.

Z rozbawieniem czytam wywiady z prof. Miodkiem, który deklaruje się jako wierny kibic Ruchu Chorzów, czy z Pilchem – kibicem krakowskich klubów. Być może wśród elit intelektualnych powstał ostatnio snobizm na sport i kibicowanie, ale jakoś nie widzę wyżej wymienionych na stadionie piłkarskim wśród gromady łysych kiboli okładających się sztachetami z ławek tudzież łańcuchami, dbających przy tym o poprawność językową. To byłby widok!

Modne jest porównywanie rozgrywek piłkarskich do średniowiecznych wojen dzielnicowych, turniejów rycerskich, konkwesty. Coś w tym chyba jest, bo proszę zauważyć – antagonizmy między narodami przeniosły się na stadiony i ich okolice. Wojny

między krajami, miastami, regionami istnieją nadal, tylko że dzisiejsi rycerze przypominają bardziej rzeźmieszków niż rycerzy króla Artura. A może wcale się nie różnią, tylko dawni kronikarze upiększyli wizerunki bohaterów swoich poematów? Może warto spojrzeć inaczej na potyczki fanów Wisły, Legii, GKS-u i na ich przywiązanie do barw klubowych? Pomysłowy filolog powinien napisać pracę doktorską na temat przyśpiewek boiskowych, a socjolog o obyczajach pojedynkowych na klepisku za miastem.

Osobiście jestem zwolennikiem sportu i nie wyobrażam sobie dzisiejszych czasów bez niego (w naszej redakcji istnieje silna frakcja rowerowa). Sport kojarzy mi się z wypoczynkiem, relaksem i jest to duża zdobycz tak krytykowanego XX wieku. Podobnie jak turystyka i urlopy. Trudno w to uwierzyć, ale trzeba było grubo ponad 1000 lat, aby wskrzesić ideę olimpiad, a ludzie mogli biegać w krótkich spodenkach. Zasługa w tym pierwszych chrześcijan, którzy potępili starożytny kult ciała i wszystko co jest z nim związane jako grzeszne i diabelskie. Trudno im się dziwić, biorąc pod uwagę wynaturzenia idei sportowej w cesarskim Rzymie. Hellenistyczną tradycję pokojowych rozgrywek Rzymianie zastąpili krwawą, gladiatorską łaźnią dla rządnych okrucieństwa i hazardu obywateli imperium. Na szczęście do tego poziomu zbydlęcenia jeszcze nam daleko. Dziś sport uprawiają nawet niepełnosprawni.

Zastanawia mnie jeszcze mikra obecność sportu w sztuce. Olimpiady wymuszają tworzenie prac na ich cześć (medale), ale poza nimi ta relacja jest słaba, temat jakby błahy i nieistotny. A to przecież tyle niewykorzystanej metaforyki! (np. Małysz jako ptak). Mile mnie zaskoczył Piotr Staszczuk prezentując na swojej wystawie duże obrazy ze snowboardzistą i rowerzystą górskim. Wyglądało to kiczowato, ale kicz jest przecież w cenie. A może znajdzie się znawca, który udowodni mi, że jest inaczej?

S. Burszewski

Brak błazna w naszym księstwie. Brak dotkliwy i nieobliczalny w skutkach, bo książę bez błazna nie wart swego miana. Wszak dobry błazen gwarantem zdrowego rozsądku księcia – megalomanię ukróci, głupotę wyśmieje, a i godziwej rozrywki dostarczy. Nasz Książę jednak błazna nigdy nie utrzymywał, więc nie wie, jakie pożytki z tego idą. Może mu nie starcza poczucia humoru, a może nie jest taki mądry, jak mu się wydaje. Woli utrzymywać zgodny chór własnych piewców, a artystów tylko tyłu, żeby nikt nie wątpił w wysoką kulturę Księcia i tylko takich, którzy stawiają mu wspa-

niałe pomniki i mile łechtają jego pychę. Książęta ościenni szybko wykorzystali tę słabość naszej władzy i u króla się stawiając załatwili naszego Księcia. Ziemię mu odebrano i zaledwie dwór z zaściankiem zostawiono.

Drogi Książę, jeśli chcesz być godnym swej władzy to zatrudnij błazna. Etat to nad wyraz potrzebny tobie i twym oddanym podwładnym, aby nie musieli się wstydzić, kiedy się z ciebie śmieją w ościennych księstwach za sprawą zatrudnionych tam sytych acz niepokornych błaznów.

Tomasz Kmiecik

Aria na wiolonczelę z towarzyszeniem serdelka

Krzysztof Piwowarski

W NUMERZE 38. „ALEI 3”, W ARTYKULE poświęconym oportunistom i odpowiedzialności artysty Tomasz Kmiecik pyta: „Czy w ogóle ktoś czyta tę gazetę?”. W numerze 39, w artykule poświęconym brakowi, opartego na uczciwej rozmowie, życia kulturalnego w Częstochowie apeluje: „Ludzie! Odezwijcie się!” Głos T. Kmiecika zabrzmiał w moich uszach dramatycznie, niczym krzyk intelektualnego rozbitka, przenikający pustkę zimnego i nieskończone głupiego Chaosu współczesności.

Zgadzam się, że oportunizm jest nieprzyjemny, aczkolwiek społecznie i politycznie poprawny, jako norma pozwala trwać gatunkowi ludzkiemu. Jeśli zwierzęta stosują mimikrę, to my – ludzie, uciekamy się do oportunistów. Osobiście nie lubię oportunistów, zachowują się jak ojciec z powieści obyczajowej Boya pt. „Ernestynka”: „*Druga znów była dziewczynka, / A nazywała się Ernestynka. / Jeden miała smutek wielki, / Bo ojciec robił serdelki. / A przeciwnie, za to ona / Była bardzo wykształcona. / Wciąż czytała, co się zmieści, / Śliczne francuskie powieści./.../ Z książkami tyż była heca: / Wszystkie powrzucał do pieca, / Choć sam nie wiedział, dlaczego, / Co ma jedno do drugiego. / W końcu ustały te krzyki, / Poszedł rano do fabryki. / Na co człowiek się naraża, / Kiedy ojca ma masaża*”. Z drugiej strony trudno mi sobie wyobrazić społeczeństwo składające się z samych Ludwi-

ków Bawarskich. T. Kmiecik uważa, że z oportunistem powinna walczyć inteligencja, a w szczególności artyści. Z pewnością. O ile są.

Wydaje mi się, że autor porusza problem natury ogólnej, dotyczący nie tylko naszego miasta, w którym, jak słusznie zauważa, nie toczy się powszechna twórcza rozmowa. Problem poważny, który na użytek tego tekstu i wszelkich ewentualnych dyskusji na przyszłość nazwę samotnością intelektualisty. W tym sensie uważam pasję T. Kmiecika, objawiającą się nie tyle w treści jego artykułów, które są wyważone, co w cytowanych na wstępie apelach, za rozpaczliwą, bo skazaną na społeczny niebyt. Piszę to z bólem i smutkiem. Wołanie autora o polemikę oznacza jedno: polemiki nie będzie. Mój głos jest tu nieistotny, nic z niego nie wyniknie. Powinienem jednakże, dla jasnego określenia pozycji z jakich występuję, co jest nie bez znaczenia w kraju tak beznadziejnie i do imentu zniszczonym, przeżartym, rujnowanym przez funkcyjne ideologie i ideologicznych funkcjonariuszy, zauważyć, że, mówiąc: „intelektualiści” nie mam na myśli dziennikarzy i polityków, mówiąc zaś: „artyści”, nie mam na myśli zespołu Ich Troje ani Formacji Nieżywych Schabuff czy T.Love, o których autor napomyka. Pozwalam sobie także nie zgodzić się z dość karkołomnym i w gruncie rzeczy niepotrzebnym zabie-

giem przeciwstawiania pojęć osobowości artysty pełnego i warsztatu twórczego rzemieślnika, który jest artystą co najwyżej w połowie. Sądzę, że osobowość, rozumiana jako pierwiastek emocjonalny oraz warsztat jako przejaw możliwości intelektualnych mogą i powinny się uzupełniać. Choć, nawet i wówczas, niekoniecznie mamy do czynienia z artystą. W moim głębokim przekonaniu niezbędny jest jeszcze trzeci element: kontekst historyzoficzny odnoszący się zarówno do dzieła, do aktu tworzenia jak i do osoby twórcy.

Wiek dwudziesty był czasem postaw antyintelektualnych, z krótkim, ożywym interludium w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, głównie we Francji, głównie dzięki lewicowym myślicielom. Z dzisiejszego punktu widzenia, kiedy mamy za sobą traumę „Wielkiego Brata” i Michała Żebrowskiego w roli Wiedźmina, trudno uwierzyć, że pobudzone intelektualnie paryżanki marzyły o chwili rozmowy na tematy egzystencjalne (co podkreślam!) z niskim, tłustawym, łysawym, krótkowzrocznym Sartrem. Z pewnością filozof nie używał żadnej z reklamowanych wód po goleniu, potrafiących przemienić mężczyznę, nawet księgowego, w Króla Elfów, który fruwa po całych dniach nad ogrodem jak z bajki i zapyla piękne kobiety. Sartre nie używał fetyszy seksualnych. Bez nich współczesny mężczyzna czuje się jak impotent, który wybrał się na peep-show, ale zapomniał przed wyjściem połknąć viagrę. Może tamta miłość była nieco perwersyjna, taka bardzo francuska, ale jakże silna, skoro owocem kawiarnianych stosunków Sartre'a z otoczeniem stała się światowa rewolta kontrkulturowa.

Wiek dwudziesty był, przede wszystkim, czasem chorobliwego nabrzmiewania i pęknięcia cuchnących wrzodów idei nacjonalistycznych, szowinistycznych, totalitarnych, wolnorynkowych nie mających nic wspólnego z postawą intelektualną charakteryzującą się, ogólnie rzecz ujmując, szyderstwem i wątpieniem w prawdziwość głoszonych prawd. Również na naszej polskiej ziemi pętała się, niczym stado nieujędzonych, dzikich koni, grupka intelektualistów, tych niewdzięcznych, szyderczo pesymistycznych, wiecznie narzekających, szukających dziury w całym mal-kontentów. Po odstrzale, w wyniku dwu totalitaryzmów, marca 68, wreszcie wskutek transformacji lat 90. pogłowie polskich jajogłowych znacznie zmalało. Można ich wszystkich zmieścić na przestrzeni hektara ogrodzonej drutem kolczastym jałowej ziemi i karmić zakurzonymi książkami



z polikwidowanych bibliotek. Intelktualiści są jak kozy, połkną wszystko.

Naszą polską współczesność nowego tysiąclecia cechują w tej kwestii dwa głównie zjawiska: świeży, powszechny, rozrastający się, niebywale drapieżny korporacjonizm oraz stara, zatęchła, powszechna pogarda dla intelektu. Bycie w korporacji rozumianej jako silna, dynamiczna, rządząca się dyktatem grupa interesów, pozwala oportuniście przeżyć, ale wiąże się nieodmiennie z rezygnacją z indywidualnej drogi życia. Bycie poza korporacją zawsze oznacza degradację ekonomiczną, a w konsekwencji społeczną, rodzinną i tak dalej. Indywidualna droga życia była od wieków domeną artystów oraz intelektualistów, zawsze niosła i niesie cierpienie i niepokój nieznanie reszcie oportunistycznego społeczeństwa. Z drugiej strony społeczeństwo może, w mniejszym lub większym stopniu, sprzyjać tym, którzy kroczą ciernistą ścieżką zwątpienia. Tu spektrum postaw jest bardzo szerokie: od nieszkodliwej obojętności, przez życzliwą, choć bierną aprobatę, po aktywną pomoc, zawsze potrzebną, albowiem zarówno artyści jak intelektualiści to ludzie życiowo niezaradni i ze swej skomplikowanej natury, nacechowanej silną niezależnością poglądów, raz na zawsze skazani na życie poza korporacją. (Trudno się w tym miejscu nie zgodzić ze zdaniem T. Kmiecika, że obowiązkiem miasta, rozumianego jako podmiot pozytywnej kreacji instytucjonalnej, jest stworzenie artystom oraz intelektualistom warunków do prowadzenia rozmowy. Ale, być może, impuls płynący ze strony częstochowskiego środowiska twórczego jest zbyt słaby? Może nasze środowisko twórcze to rzeczywiście małostkowi zawistnicy, ludzie o niewielkim talencie i wąskich horyzontach? Oportuniści? Pozostające bez odzewu apele T. Kmiecika o polemikę czegoś wszak dowodzą.)

Spółeczności zachodnie odnosiły się w przeszłości do swoich artystów i jajogłowych przynajmniej obojętnie, ale, zważywszy na fakt, że Europa Zachodnia była i jest nadal źródłem inspirujących, choć często kontrowersyjnych, zjawisk kultury oraz nowoczesnej, krytycznej myśli społecznej i politycznej, należy wnosić, że tamtejszy korporacjonizm poszedł w końcu po rozum do głowy i dziś docenia wagę zachowania tożsamości narodowej w jednoczącej się Europie. Fabrykant serdelków, choćby się nie wiem jak starał, nie potrafi ukazać w swoim wyrobie, któremu z pewnością oddał serce, bogactwo duchowe narodu. Ernestynka może zaświadczyć.

Natomiast potrafią to uczynić ci, dla których serdelek, najlepiej na ciepło, z chrzanem lub keczupem, to tylko marne, tanie źródło protein, czerpią z niego siły do snucia interesujących rozważań. Choćby na temat Leni Riefenstahl.

Tymczasem na ziemi polskiej, od mniej więcej końca dynastii Jagiellonów, nie narodziła się żadna myśl, którą przyswoiłaby sobie Europa. Być może dlatego, że dramatycznie duża część szlachty polskiej, ówczesnie największej korporacji ekonomicznej i politycznej, podpisywała się pod uchwałami przyjmowanymi na sejmikach za pomocą krzyżyków. Wspominając o tym chcę powiedzieć, że tradycja pogardy dla intelektu jest w Polsce długa i bogata. Współczesne polskie korporacje robią zbyt mało lub zgoła nic, by chronić swoich rodzimych, jakże nielicznych, artystów i intelektualistów przed degradacją. Czy nią tak z braku wewnętrznej, właściwej nuworyszom indywidualnej potrzeby głębszej refleksji czy choćby elegancji słowa, a także wskutek braku zrozumienia powszechnej, wręcz narodowej potrzeby istnienia buntowników myśli. Wiano, jakie wniesiemy do Europy w 2004 roku będzie nader skromne: słoма, mózdzek wieprzowy z cebulką, żubry i żubrówka. Nie będą to, niestety, intelektualiści. To nie nasza, polska specialite de la maison. Tym to bardziej gorzkie, że zdarzyło się coś, co, jestem o tym przekonany, da początek restauracji atmosfery lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych i wskrzesi ducha Sartre'a. Zburzone wieże WTC, o których pisze Kmiecik w kontekście rzeczywiście głupawej wypowiedzi Stockhausena, stały się grobem kilku tysięcy niewinnych ludzi oddających swój pot, łzy i krew, wreszcie życie, po to, by tłoki wielkiej, anonimowej korporacji przemysłowo-finansowej pracowały bezawaryjnie i wydajnie, przynosząc zyski, żeby strumienie pieniędzy płynęły bez przeszkód niczym złote rzeki do złotego oceanu. Ale płonące wieże WTC to także, a może przede wszystkim, ogniste epitafium na symbolicznym grobie INTELEKTUALISTY. Okazuje się bowiem, że Europa i świat, jaki zastaliśmy po roku 2000 został ulepiony rękami ludzi o niezachwianym i skądinąd słusznym przekonaniu, że świat ma więcej pożytku z amerykańskiej middle class niż z bezproduktywnych mieszkańców Sahelu, którzy, z racji nędzy nie są i nigdy nie staną się klientami, nabywcami wyrobów produkowanych przez tłoki Wielkiej Korporacji. Świat ulepiony przez zimnych pragmatyków nie przewidywał w swoim, zdawałoby się, precyzyjnie skalkulowanym programie rozrywkowym nu-

meru z błaznem-narzekającym intelektualistą. Ponieważ intelektualista powiedziałby ze sceny o swoich wątpliwościach co do słuszności doktryny ekonomicznego darwinizmu, tego totalitaryzmu XXI wieku, tym różniącego się od lokalnych totalitaryzmów dwudziestowiecznych, że ma charakter globalnego przymierza silnych w celu dokopania słabszym. Viribus unitis. Intelektualista przynudzałby godzinami, odwołując się do głębokich, przysypanych telewizyjnym błotem, pokładów ludzkiej świadomości, zasiewając ziarno myśli, że może ten świat rzeczywiście mógłby być lepszy? Bardziej sprawiedliwy? Bardziej po myśli Boga, a nie Szatana?

Tak, był szczęśny czas w dwudziestowiecznej historii starego i nowego kontynentu, kiedy na scenie zamiast zgniłozielonych wojskowych, szarych liberalnych ekonomistów i granatowych z czarnym polityków występowali filozofowie, pieśniarze akustyczni, opowiadacze kontestujących dowcipów – intelektualści na rozmaite, wielobarwne sposoby, których łączyła wspólnota szyderstwa i sceptycyzmu. Nie byłoby miło, gdyby powrócił? Ernestynka mogłaby spokojnie czytać trudną literaturę i nikt by nie powiedział, że marnuje sobie życie, zamiast tłuc forszę jako bizneswoman.

Cieszę się, że Tomasz Kmiecik nawołuje do animacji tego cudownego, namiętnego teatrum, jakim jest rozmowa. **Rozmowa.** Podkreślam to, ponieważ autor w post scriptum artykułu („Aleje 39”) pisze: „...artyści i twórcy wszędzie narzekają... My w Częstochowie też narzekamy...” Narzekanie nie jest rozmową. Narzekanie jest mieleniem gorzkich żalów. Z narzekania nic nie wynika. Z natury jestem sceptyczny i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że my, Polacy, znowu, jak przez wieki, skazujemy się na bycie poza kręgiem globalnej rozmowy, która oby wskrzesiła, na popiołach spalonych nowojorczyków, ducha wrażliwego intelektu i globalnej refleksji. A może narzekanie, o którym pisze T. Kmiecik nie jest dowodem na to, że twórcy nie mają nic do powiedzenia? Może jest dowodem na to, że, jak zauważa autor, społeczeństwo mając „Wielkiego Brata” i Sapkowskiego po prostu i najzwyczajniej nie chce słuchać gorzkich słów refleksji? Jeśli tak, to twórcy, artyści, intelektualści znowu są bez winy. Choć znowu i jak zwykle niczego to w polskim losie nie zmienia.

Jestem ciekaw, czy częstochowscy intelektualiści, artyści i twórcy odpowiedzą Tomaszowi Kmiecikowi. Ktoś, kto zabiera głos w globalnej dyskusji, a jestem przekonany, że Kmiecik to właśnie czyni, zasługuje na odpowiedź ■

GDYBYM MIAŁA WYBRAĆ Z PRZEPASTNEGO skarbcza poezji polskiej jeden z najważniejszych dla mnie i najpiękniejszy wiersz, byłby to bez wątpienia utwór Jana Kochanowskiego, zaczynający się od słów:

*„Śnie, który uczysz umierać człowieka
i ukazujesz smak przyszłego wieka...”*

Mam jednak wybrać aż (czy tylko?) trzy wiersze ze współczesnej poezji.

Spróbuję. Należę do pokolenia, którego wczesna młodość upłynęła w czasie drugiej wojny światowej. Najtrafniej wyraził je poeta, który dokonał przełomu w polskiej poezji – Tadeusz Różewicz. Wyraził nasz wszystkich, milczących.

Tadeusz Różewicz Ocalony

Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
prowadzony na rzeź.

To są nazwy puste i jednoznaczne
człowiek i zwierzę
miłość i nienawiść
wróg i przyjaciel
ciemność i światło.

Człowieka tak się zabija jak zwierzę
widziałem:
furgony porąbanych ludzi
którzy nie zostaną zbawieni.

Pojęcia są tylko wyrazami;
cnota i występek
prawda i kłamstwo
piękno i brzydota
męstwo i tchórzostwo.

Jednako waży cnota i występek
widziałem:
człowieka który był jeden
występny i cnotliwy.

Szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności.
Mam dwadzieścia cztery lata
ocalałem
Prowadzony na rzeź.

O trudności wyboru najważniejszych wierszy

Ludmiła Marjańska

Drugi wiersz, całkowicie różny w tonacji, to mądry i pokrzepiający wiersz poety, który przeżył obydwie wojny, zachowując jednak wiarę w człowieka. Leopold Staff. Czy to w nim szukał Tadeusz Różewicz nauczyciela i mistrza? Opublikował przecież własny wybór wierszy Staffa, zatytułowany „Kto jest ten dziwny nieznajomy...”

Długo zastanawiałam się, czy wybrać jeden z ostatnich utworów, w których Staff – rezygnując z klasycznej strofy – dochodzi do ascetycznej prostoty („Podwaliny”, „Most”, „Chciałem już zamknąć dzień”), czy ten, w którym poeta nadal posługuje się rymem i rytmem, w klasycznej strofie mówi do „ocalonych”, wskrzeszając w nich nadzieję:

Leopold Staff
Pierwsza przechadzka

Żonie

Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.
Nikt o tym jeszcze nie mówił nikomu,
Lecz wiatr już o tym szeptem po ogrodach.

Nie patrz na smutnych tych ruin zwaliska,
Nie płacz. Co prawda, łzy to rzecz niewieścia.
Widzisz: żyjemy, choć śmierć była bliska.
Wyjdźmy z tych pustych ulic na przedmieścia.

Mińmy bezлюдne tramwajów przystanki...
Nędzna kobieta u bramy wyłomu
Sprzedaje chude, blade obwarzanki...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu.

Wystawy puste i zamknięte sklepy.
Życie się skryło chyba w antypodach.
Z pudłem grzebyków stoi biedak ślepy.
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.

Ty drżysz od chłodu. Więc otul się szalem.
Bez nóg, bez ramion, w brunatnej opończy,
Młodzi kalecy siedzą przed szpitalem.
Widzisz: już pole. Tu miasto się kończy.

Zwalone leżą dokoła parkany,
Dziecko się bawi gruzem na chodniku,
Kobieta pierze w podwórku łachmany
I kogut zapiał krzykliwie w kurniku.

Kot się pod murem przeciąga leniwo,
Na rogu człowiek rozmawia z człowiekiem...
Znowu w sklepiku zjawi się pieczywo
I znów zadzwieczę rano bańki z mlekiem.

Przejdą dni ciężkie klęski i rozgromu
I zapomnimy o ranach i szkodach...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.

A trzeci wiersz? W kobiecej solidarności przeglądam tomy poezji tzw. „kobiecej”. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, której twórczość tak zasadniczo zmieniła wojna. Niepowtarzalna Kazimiera Iłakowiczówna. Głęboko myśląca Anna Kamieńska, której obfity dorobek utrudnia wybór. I wreszcie Wisława Szymborska, chyba jedyna poetka wyróżniona nagrodą Nobla. Jej „Kot w pustym mieszkaniu”, przejmująca personifikacja cierpienia.

Nie. Wracam do moich „mistrzów” Skamandrytów. Witalna, radosna przedwojenna poezja Kazimierza Wierzyńskiego. Długotrwały niebyt tej twórczości w Polsce powojennej. I nieśmiały powrót wierszy mówiących o życiu na emigracji. Przejmujący wyraz tęsknoty i jedności z krajem ojczystym. I jakby odpowiedź na powojenny wiersz Staffa.

Kazimierz Wierzyński
Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny

Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny,
Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu:
W ugornej pustce jałowizny
Będziemy razem nie mieć domu.

Kto się zapatrzył w tamte strony,
Gdzie dotąd niebo nocą ciemną
Od łuny drży nieugaszonej,
Niech w noc tę głębiej idzie ze mną.

Komu się śnią włózione kości
Przez psy na polach, gdzie rozpaczą
Brzozy odarte jeszcze płaczą,
Niech mi to wyzna w samotności.

Bo z mgieł jesiennych, przez ścierniska
W badyłach, perzu, kłębem pnączy
Szept jakiś z trudem się przeciska
I w samo serce, w krew się sączy.

Bo nie ma ziemi wybieranej,
Jest tylko ziemia przeznaczona,
Z wszystkich bogactw – cztery ściany,
Z całego świata – tamta strona.

*Tekst pisany do ankiety, na zamówienie
bydgoskiego „Kwartalnika Artystycznego”*

Agnieszka Bugara

„Tramwaj”

Tramwaj z pasażerami denerwuje
 I wydaje głośny zapach
 Wilgoć chleba z siatki sąsiada
 Miesza się z potem
 Wyrzuconego z pracy faceta
 Drogi naszyjnik na szyi jednej starej
 Chce się uwolnić w ręce złodziejaszka
 Siedzenie ze srebrną poręczą zajęte
 W ostatnim wagonie jazgot
 Bo jakiś obcy pies szuka nowego właściciela
 Ja szukam wolnego miejsca
 Oprócz mnie czatuje na nie
 Trwale ondulowana czterdziestka po kuracji
 odwykowej
 Rudowłosa w tenisówkach z opaską po
 przekątną mózgu
 I to bydlę
 Z daleka widać że wygra
 Stoi najbliższej gościa niecierpliwie
 Wierzącego się do wyjścia
 Przystanek
 Konsternacja
 Bydlę wygrywa
 Zapach nieumytych rąk
 Dotknął mnie w szyję
 Wszedł nowy
 Nowy rozgląda się
 Chce usiąść
 A gówna
 Wszystko zajęte
 Stoimy przywiązani do siebie
 Odwracamy od siebie głowy
 Żeby nie patrzeć sobie w oczy
 Z odległości jednego mm
 Twarz wydaje się bardzo podobna
 Znów ktoś wsiadł
 Wsiadł inny

Każdego dnia w tramwaju rodzą się nowi ludzie

Tak bardzo zmęczony że
 Usypia zwinięty
 W kulkę
 Na taborecie

Tak bardzo zmęczony że
 Budzi się w nocy
 W obcym pokoju bo go
 Już nie rozpoznaje

Nie rozpoznaje kobiet
 Nie odróżnia kobiet od mężczyzn
 Nie wie kim jest
 Nie odróżnia się

Nie rozpoznaje lustra
 Myśli że to on sam dwóch

Ze zmęczenia
 Nie wie którego
 Położyć spać

Ze zmęczenia
 Kładzie się na lustrze
 I zasypia
 Jeden na drugim

I co dzień
 Budzi się
 Tego samego dnia

„Cię”

Dotknij mnie
 Stoję
 Mam tyle miejsca
 Pomieszczę cię
 Mam tyle piekła
 Zbawię cię
 Oto jest ciało moje
 Odłamię sobie pierś
 Oto jest krew moja
 Dla ciebie i całej
 Reszty
 Tchnij we mnie
 Zanim skamienieję
 Stare Bogurodzice
 Już nie zmartwychwstają

Ludmiła Marjańska

Odkrycie Północy

I oto północ: nieoczekiwanie
 przecięcie bieli z ciemną głębią fiordu
 nieustający blask na czarnej skale
 spadającej pionowo w srebro
 Jasność nocy
 Surowość blasku jego chłód
 Pół-noc czy pół-dzień raczej skoro słońce
 zniża się tylko różowieje płonie
 i zaraz zmienia się w srebrzysty brzask
 wschodzi chociaż nie zaszło
 jest
 trwa
 coraz dalej unosząc mnie na Północ
 w arktyczne przestrzenie
 niepoznawalnych światów
 Wybuch
 krótkiej nadziei nim ją zgasi
 już pełnej nadciągający mrok nocy.

Korweta z Kaszmiru

Z nocy wzburzonej na spokojnej fali
 wypływa korweta z Kaszmiru
 na pełnych żaglach
 Już wschodnioskórzy handlarze bawełną
 rozwijają przejrzyste szale przed oczami
 oszalałych z zachwyty bladych mieszczek z Bremy
 Najmłodszą kusi ten w białym turbanie
 Dla jego sarnich oczu gotowa zapłacić
 najwyższą cenę
 Gdy w zimowy dzień
 weźmie szal w ręce uleci
 w góry Kaszmiru by odnaleźć chłopca
 i rozwinąć ten biały tajemniczy turban
 spod którego
 na śniade plecy czarną falą spłyną
 strumienie włosów
 Rankiem szal gaśnie a w porcie jest cisza
 Jakby w nim nigdy nie stała korweta.



Radość podróży

Radości
 towarzyszek dalekich podróży
 mknący za oknem widok
 nigdy cię nie znuży
 Sosny wiecznie zielone
 chmur przejrzyste pasma
 przęsła mostów przepaście
 akwedukty miasta
 Różnorodność kościołów
 ich strzeliste wieże
 wysokości uniesień
 głębie obcych wierzeń
 Szczyty Alp piach Sahary
 twarze twarze twarze
 ułamki spotkań
 szczątki dawnych zdarzeń
 Za szybką samolotu
 na dworcach w pociągach
 radość
 jakiej się nigdy
 nigdzie nie osiąga
 I wdzięczność za to wszystko
 co jest i co było –
 za róże
 podróże
 i miłość

TURECKA RZECZYWISTOŚĆ

Wiedzieliśmy, że zadziwi nas ten kraj: położony nad czterema morzami – Śródziemnym, Egejskim, Czarnym i Marmara, o górzysto-wyżynnej powierzchni, klimacie śródziemnomorskim na wybrzeżach i kontynentalnym we wnętrzu, o kulturze i mentalności tak różnej od naszej, europejskiej. Jednak nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewaliśmy się aż takich niespodzianek.

Nadarzyła się doskonała okazja, by po trzech dniach pobytu w egzotycznym tureckim Assos – uwięzionym między górami a Morzem Egejskim – ruszyć dalej. Poruszenie wokół starego – stojącego w pobliżu naszego namiotu jeepa wskazywało na to, że „sąsiedzi” wyjeżdżają. Kilka słów wymienionych w łamanej angielszczyźnie, pozwoliło się nam zorientować w sytuacji. Decyzję podjęliśmy natychmiast. Jedziemy w stronę Efezu.

Przydzielono nam miejsce na tylnych nadkolach samochodu. Przed rozpoczęciem podróży Turek zdołał nam jeszcze wytłumaczyć, że pojedziemy nie główną trasą, ale na skróty, przez dzikie tereny wzdłuż wybrzeża.

* * *

Właściciele jeepa to tureckie małżeństwo, ludzie czterdziestoparoletni, energiczni, pełni życia. On – potężny mężczyzna, z lekko siwiejącym zarostem. Czarna chusta chroni jego, być może łysiejącą, czaszkę przed słońcem. Ona – drobna, cicha, o ciemnej, zdrowej karnacji. Na twarzach obojga widać odcień śródziemnomorskiej urody. Turecką osobowość buduje otwartość, swoboda i swoista egzotyka. Kontrastują z tym wizerunkiem atrybuty kultury Zachodu. Strój, telefon komórkowy u paska, niestety, coraz intensywniej wciskające się w tamtą rzeczywistość. Angielskim posługują się jeszcze mniej sprawnie od nas, a z języka polskiego nie znają nawet sztandarowych zwrotów tureckich handlarzy: „niedrogo”, „opłaca się” więc komunikacja między nami jest nader trudna.

* * *

Krętymi uliczkami wyjeżdżamy z Assos. Samochód rozpędza się; gorący wiatr uderza w opalone twarze. Towarzyszy nam niesamowi-

ta duszność bijąca z ładu i jednoczesna rzeźkość płynąca jeszcze od morza. Mijamy pobliskie Barankhale „obłożone” glinianymi naczyniami, stołami arbuzów i dywanami wykonanymi z koziej wełny. Oglądają się za nami stare, wysuszone twarze tureckich kobiet, a za samochodem bieżącą na wpół rozebrane dzieciaki. Kłaniamy się ruinom, nadal monumentalnej, antycznej świątyni.

Przed nami rozpościera się krajobraz prawdziwej Turcji. Ciągają się, chyba w nieskończoność, góry porośnięte drzewami, a w miejscach pustych wysuszoną, pożółkłą trawą. Za nami widać jeszcze turkus morza i gdzieś w dali rozsiane greckie wyspy, a przed nami góry, kręte drogi, góry, kręte drogi... i szalejący po nich tureccy kierowcy.

Zjeżdżamy z trasy z trudem mijając stado rozleniwionych, wychudzonych, czerwonych krów.

Kamienie, wyboje dają się nam we znaki – okrutnie trzęsie, a piasek uderza w twarz. Niewygody mają jednak swój urok – poznajemy przecież miejsca, o których nie wiedzieliśmy, że istnieją, do których zwykły turysta nie ma wstępu. Egzotyka wzmaga się wraz z pokonywanymi kilometrami, rośnie poruszenie.

* * *

Nagle zatrzymujemy się. Otacza nas zawieszona, gorąca cisza pustkowia, przerywana jedynie szelestem świerszczy. Turecka para wysiada i kieruje się w stronę przyczepy. On spogląda na nas, zwraca się krótko po turecku – jakby zakładał, że wiemy o co chodzi. Ona podąża za nim. Rozmawiają. Nie rozumiemy co się dzieje. Wracają, Turek trzyma w dłoni strzelbę, żona podaje mu naboje. Próbuje się porozumieć: „Będziesz polował?” – pytamy naśladując przy tym gest oddania strzału w stronę zwierzyny. Badawczo spogląda na nas, zastanawia się, chyba zrozumiał. „Nie” – kręci przecząco głową i ładuje strzelbę. Świetnie: przejechaliśmy prawie 2000 kilometrów, udało nam się dogadać z Węgrami, autostopem pokonaliśmy Rumunię i Bułgarię, jedliśmy przeróżne rzeczy, spaliśmy w przedziwnych miejscach... a teraz dostaniemy po kulce od tureckiego mafiozo. Zostawią nas tu, zabiorą dokumenty, plecaki i tyle...

Turek uśmiecha się i wsiada do jeepa. Spoglądamy na siebie nie wierząc w ocalenie. Lekko klepię mężczyznę po ramieniu: „Po co to?” – wskazuję na strzelbę. Odwraca głowę w moją stronę: „Kurdowie” – tłumaczy wolno i wskazuje nieokreślony obszar, zataczając ręką łuk ■

Agnieszka Nowacka

* * *

Dopiero w szpitalu z ukrycia, intymnych schowków wychodzi nasza fizjologia na scenę – w całej okazałości. Stoi na pierwszym planie w świetle jupiterów zwierzęco bezwstydna, naga, obrzydliwa, ale najważniejsza. Przysłania wszystkie inne sprawy życia. Estetyka wdeptana w ziemię, owiana smrodem, fekaliami.

Święta, niepojęta fizjologio!

* * *

Przed deszczem jaskółki, podpalone granatem, schodzą w doliny. Jakby ktoś rzucał je pełnymi garściami znad obłoków ciemnych jak bura czerń. Śmigi, zakosy, spirale, nagłe zwroty. Ale nie estetyzują, lecz połykają drobne owady. Mają swój jaskółczy cel (nie Konradowski) i nic poza tym.

* * *

Wiem, różne są gusta. Od czasu do czasu pokazują w tv kandydatki na miss kraju, miasta, województwa. Z reguły bywają to dziewczyny skąpo ubrane, które pokazując swe wdzięki ruszają wszystkimi częściami ciała, wyginają się, przekrzywiają, skręcają itp. Rozpuszczone włosy zasłaniają twarze. Ostatnio przed pokazem spikerka zacytowała starą piosenkę: „sex appeal to nasza broń kobieca...” A piękności dalej się wyginały jak małpiszony. Dla mnie widok raczej wstrętny niż piękny. Czemu? Przecież nadal ciało kobiety uważam za kwiat. Ale w zwiewnym i całościowym okryciu, najlepiej w sukience. Długiej.

* * *

Niby to wiosna, lecz w sosnowym lesie --- jesień. Taki sam widok jak w dzień listopadowy. Trochę zielonych bylin (jagodziny, borowiny) pełza po szarym podłożu. Po drugiej stronie duktulasy inny – dęby i graby, z których zwisają suche, zeszłoroczne liście. Nawet wichury nie dały im rady. Są zmaltretowane. Wiedzą, że nie wrócą do życia. Zastąpi je wkrótce nowe pokolenie. Na ścieżkach także pokruszone listowie. W popiół się zmienisz...

* * *

Powtarzałem co tydzień mojej, miłej zresztą, gromadce, że rymy gramatyczne (daje – staje, nosi – prosi, kocha – szlocha) nie przystoją szanującemu się poecie. Że rym jako taki to wynalazek średniowiecza, a cała poezja starożytna go nie znała. Bez skutku. Sam używałem rymów pełnych, ale starałem się, żeby były prawie niesłyszalne, nie zasłaniały treści wiersza, jego wy-

mowy, kolorytu i akcentów logicznych, co często czyni nieustanne pukanie sylaby o sylabę. Że to nie w dobrym stylu. Nic nie pomogło, przeto przestałem pouczać. Wszak spotkania starszych ludzi, którym rymowanie daje radość – mają być też radością. Bylebym potrafił w tym postanowieniu wytrwać.

* * *

Podobnie z mądrością. Tutaj nadinterpretacja siebie wynika z niemożności samopoznania.

* * *

Niedziela. Las. Potem kawa u Teresy. Przedwiośnie rozszerzyło jej oczy. Na białkach różowe żyłki. Lniane spodnie, niebieski sweterek, pogrubiony haftem biały kołnierz bluzki. Słońce wlewa się przez okno jak pijana piana. Teresa opowiada o letnich wczasach na Maderze. Autokar, którym jechał cały turnus wywrócił się do rowu. Na szczęście poruszał się wolno. Pasażerowie zostali poturbowani, a niektórzy pokaleczeni szkłem z wybitych okien. Największy był krzyk, pisk i płacz.

Przychodzi Pustelnik. Ogorzały, zarośnięty, ale układnie, stylowo jak zawsze, z oczami wpatrzonymi w siebie. Nosi kapelusz z szerokim rondem i wysmuklający, ciemny płaszcz. Zastanawiam się chwilę, jakby na boku świata, czy nie ma w nim pozerstwa. Jeśli tak, to robi to znakomicie, bez poznańki. Mimo wszystko jest KIMŚ. Co najmniej oryginałem. Dwa lata mieszkał w lesie. To borsucze życie było jego wyborem. Rozmyślał, jak mówi, o transcendencji. Samodzielnie pobudował podziemne korytarze, umacniając je drzewami z własnej, leśnej działki. W legowisku nie tylko medytował, także czytał, pisał, komponował muzykę do własnych tekstów. W miejscowej prasie znalazł się o Pustelniku reportaż.

Idziemy obejrzyć ów barłóg. Znajduje się niecały kilometr od Olsztyna. Wokół brzozy, dwie palisady też z brzozy. Pieńki do siedzenia, część prymitywnej siedziby ogrodzona. Nad jedną z jam (jest ich kilka dla zmylenia ewentualnych opryszków) zwisa płótno namiotowe. Pogorzelnisko po ogniu. Teresa przyciąga czarną twarz Pustelnika, całuje w szyję i pyta, czy załatwił dwa ule. On kiwa głową na znak, że tak.

Przyjeżdża Janek swoim zielonym autem. Za chwilę jesteśmy w Olsztynie. Właśnie nad miasieczkiem sznur ptaków. Żurawie, dzikie gęsi, czarodziejskie latawce?

* * *

Wystrzeliły już forsycje! W kolorze łagodnej osy.

* * *

Ostatni przystanek. Jaskrów, las. Odważam się iść sam do Mirowa. Widzę pierwszego marcowego motyla. Cytrynek. Obfitość gatunków drzew. Przeważają liściaste: dęby, graby, klony. Oglądam się za jakimś kwiatkiem. Za wcześnie! Przechodzę przez most nad Wartą. Mirów. Pół godziny czekania na autobus. W chwili wchodzenia po stopniach do wozu – nagle karuzela w głowie i wszystko ciemniej. Miałem już kiedyś podobne omdlenie, lecz byłem z Marią. Wpadłem wtedy w zupełną ciemność, jakby w nirwanę, naukę Buddy. Teraz wciąż widzę wewnątrz autobusu i ludzi, tyle że przez okopcone szkiełko. Ciężko siadam. Nie tracę przytomności, widzę ludzi, głównie dzieci wracające ze szkoły, ale odnoszę wrażenie, jakbym, wraz z pasażerami, znajdował się pod wodą, w akwarium przeistoczonym w autobus. Nie słyszę gwaru dzieci, tracę poczucie, gdzie jestem, kim jestem, dokąd płynę w tej podwodnej łodzi. Jakby kilka rzeczywistości nałożyło się na siebie. Woda ciemniej, słyszę jej pluskanie... Po 2-3 minutach wszystko wraca do normy wraz z moją jaźnią... Znowu gwar dzieci, poznaję mijane przystanki.

Gdzie byłem? Czy w ogóle gdzieś byłem?

* * *

Prawie wszyscy chcieliby spotkać wielką, piękną miłość. A jednocześnie zwykłą i normalną jak codzienny bochen chleba. Niektórzy twierdzą, że ją znaleźli i z radości klaszczą. Ale ich oczy i wygięte powieki, jak skorupa ślimaka, mówią, że to nieprawda. O WM można się tylko otrzeć. Jak o lot jaskółki.

* * *

Znowu przyjaciel delfin przyplynał, jak zawsze, z głębin mojego Czasu i przyniósł tym razem ławkę szkolną, przy której siedziałem w drugiej klasie. Ławka mała, pokręcona, niezbyt czysta, pocięta scyzorykiem, poplamiona atramentem. Pośrodku blatu szklane naczynie – kalamarz – do którego często wpadały muchy. Wyjmowaliśmy je ubabrane, czarne i rzucaliśmy na głowy koleżanek. Uciechy było co niemiara. Pisaliśmy obsadkami. Miały one różny kształt i kolory. U dołu skuwka do stalówek, które nasadzało się na nią. Stalówki były też różnego formatu: krzyżówki, rondówki, redisówki i inne. Widzę je, lecz nie pamiętam nazw. Miotła czasu tak du-

żo wygarnęła z pamięci! Najpierw trzeba było narysować klasę na udeptanej ziemi. Rzucano się kamykiem lub kolorowym szkiełkiem. Dzieci parobków folwarcznych, fernali, nie miały skakanek. Kto jeszcze pamięta biegi z kuchenną fajerką i drutem?

* * *

Zimą inne uciechy. Bitwy na śnieżki, jazda na łyżwach na stawie Bacciarrellich. Cóż to były za łyżwy! Kawałek drewna podbity grubym drutem. Imponował ten chłopiec, który potrafił nimi wykrzesać błyski ognia. Ja miałem prawdziwe łyżwy, bowiem należałem do innej klasy społecznej. Na dużej przerwie jadłem bułkę z szynką. Moi koledzy biegali do pobliskich czworaków i na czapkach przynosili jakieś placiki, które podrzucali do góry. Zawody polegały na tym, żeby nie upadły na ziemię. Czasem w lecie Pani pozwalała nam grać piłką w dwa ognie. Piłka był to skarb bezcenny. Kto ją dostał, musiał potem przynieść i oddać do rąk nauczycielce. Piłka była jedna, podobnie globus.

Cztery kilometry do szkoły odprowadzał mnie Burnus – duży pies, wilczur. Z czasem zaczął przybiegać po mnie. Przejechał go pociąg. Jaka była rozpacz w całym domu! Mądry Burnus...

Jak już wspomniałem, jedna była Pani, jedna piłka, jeden woźny i cztery klasy. I jedno wczesne dzieciństwo – niepowtarzalna radość istnienia, mimo rąk poplamionych atramentem, niewygodnych ławek i jednej piłki. A wieczorem do naszego domu ze wszystkich stron dochodziło rechotanie żab. Późną wiosną. Rechotanie żab i gwiazdy na granatowej karuzeli nieba. Cóż może być piękniejszego? Nic, błękitny delfinie!

* * *

Ucichł wiatr, przestało koziółkować ciśnienie atmosferyczne. Wstałem z łóżka, kiedy wełna chmur była już rozjaśniona, a moje nerwy mniej rozdygotane. Około szóstej zaczęły się na niebie pokazywać bławatki błękitu. Nieśmiało, wstydliwe jak pierwsze kochanie, co mogą prorokować wielką miłość albo tylko przelotne ukojenie. Kim jesteś? Meteoropata.

* * *

Norwegii prawdopodobnie już nigdy nie odwiedzę. (A spędziłem tam w sumie cztery lata.) Nie zobaczę bazaltowych, pionowych ścian górskich, z których wyrastają pierwotne sosenki i kępy roślinności. Wprost z popękanych ścian. Z kamienia. Co za uporna moc życia!

Na początku maja br. na rogu ul. Jasnogórskiej i al. Kościuszki otwarto nowy lokal o ambicjach artystycznych – „Utopię”. Ciekawy wystrój wnętrz robi wrażenie: autentyczna kosa na ścianie obok buddyjskiej mandali, kolaż z XIX-wiecznego czasopisma „Kłos”, artystowskie ołtarzyki w oknach, rzeźby ze złomu, konwalie w toalecie mają przypominać o mijaniu i odradzaniu się życia, pomagając w rozładowaniu stresu u gości. Budka strażnicza w wejściu jest granicą między światem rzeczywistym a utopijnym, który ma panować we wnętrzu, niczym w mitologicznej Walhali.

Szef nowego pubu – znany częstochowski ekscentryk Mariusz Borowik i jego przyjaciel Jarosław Koźmiński zadbali o takie niecodzienne szczegóły. Moją uwagę przykuły strony zapisane gęstym tekstem, którymi wytapetowano pas ściany (ok. 100 stron). Mariusz stwierdził, że zbyt długo pisał do szuflady i teraz nastąpił czas na pokazanie tej twórczości światu. W ten jakże prosty sposób „opublikował się” (wielu pisarzy zakłada obecnie własne wydawnictwa, by móc wydać swoje książki). Bywalcy mogą w wolnych chwilach poczytać opowieści Borowika, lecz uwaga! mają niewiele czasu, bo tekst stopniowo blaknie. U nas natomiast można przeczytać próbkę twórczości Mariusza, człowieka odczytanego (wiele lat pracował w księgarni „U chłopaków”), interesującego się sztuką, drukowanego już w warszawskim „Rastrze”.

Borowik prezentuje styl surrealistyczny, senno-wizyjny, pisany często na zasadzie strumienia świadomości. Jest to praktyka dawno zapomniana i nieużywana w czasach popularności literatury faktu. Autor wprowadza się w stan twórczy mantrując, kontemplując swój umysł i otaczający go wszechświat. Łatwo zauważyć, że jego skojarzenia krążą po linii spiralno-kołowej i taki motyw można też zauważyć na jego obrazkach (składają się na nie tysiące znaczków przypominających chińskie litery). Efektem jest delikatna proza poetycka opowiadająca o związkach czasu i istnienia (wyeksponowany Thanatos), księgach, tajemnych budowach, nieistniejących, półrealnych osobach z przedziwnymi pragnieniami, drażnionych samotnością. Żeby się wczytać w jego trudne w odbiorze teksty, potrzebna jest wyobraźnia i cierpliwość, by przebrnąć przez misternie budowane, wielokrotnie złożone zdania. Nie wszystkim przypadnie do gustu maniera Borowika, ale gdy się wczytać głębiej, tekst może się podobać i zaskakiwać paradoksalnymi skojarzeniami, motywami edypalnymi, nagromadzeniem entropii – jednym słowem wykreowaną UTOPIĄ. (SB)

ŻYWIĘ SIĘ UTOPIĄ

Mariusz Borowik

Na skraju wąwozu ktoś rzucił kamieniem. Sens bywa różny, więc mimo bólu dalej tam spoglądam. Nie widzę nikogo, tylko drugi nadlatujący kamień i wtedy już upadam. Ten był większy, następnego nie przeżyję, więc powoli podczołguję się pod jakiś kamień, który jest już głazem. Chyba tracę przytomność i wiarę w to, że jeszcze raz zobaczę na skraju wąwozu choćby jeden nadlatujący kamień, podczas gdy głaz tuli mnie do siebie, kompletnie miażdżąc w sposób jakże ojcowski, jakże matczyńny, gdzie głodne dzieci-kamienie nie do końca pojęły jakże trudną sztukę zabijania, sztukę przetrwania kamiennego spokoju wieków.

Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek odwiedzę ten dom, znając swoją skrytą naturę i strach przed rozczarowaniem wyobrażeniami, jakie noszę w sercu. Całymi latami przychodziłem tu tylko po to, aby śnuć domysły o zawartości tak niezwykłego domu i o osobie, która go zamieszkuje (od samego początku żałowałem, że musi to być samotnik). Upłynęło wiele czasu zanim poznałem prawdę, zwłaszcza że postanowiłem jej sztucznie nie przyspieszać ani nie węszyć, czego sam nie znoszę. Wszystko się miało dokonać podczas moich spacerów i według starej recepty – przypadku, który staje się przeznaczeniem. Zobaczyłem ją w jednym z okien i sporo czasu musiałem czekać, aż obraz się powtórzył i utrwalił. Teraz już wiem, że nazywa się LuLu i mieszka tu sama.

Czas zamieszkuje wszyscy po trochu. Jedni ledwie snują się po jego powierzchni, inni odnajdują wejście do następnych komnat – tych jest bardzo niewielu i mówi się o nich źle. Nazywam się LuLu i zamieszkuje stary dom o twarzy mędrca. To właśnie tu, w jego brzuchu, urządziłam sobie własną bibliotekę, o której marzyłam od dziecka, którą jestem i dla której żyję. Rzadko wychodzę, a jeżeli już to raczej nocą, w dzień bywam na moim specjalnie zamaskowanym patio, gdyż obecność ludzi stała się dla mnie zbędna i wstrętna. Sporo rozmyślam, a ślady tego odnajduję potem w swoich zbiorach – na swoich półkach, które w zasadzie nie mają końca. Tutaj też

lata zbierają się powoli i z rozmysłem. Tak jak każdy dzień posiada własną specyfikę, każdy miesiąc, godzina, pora roku, tak i czas objawia się emocjami, wpływami, domysłami i marzeniami, które tylko w snach udaje się odnaleźć i przetworzyć.

Dom LuLu. Moje oczy w Jej kierunku. Tak bardzo nie lubię się udzielać i naprzykrzać; nawet przedmiotom pozornie martwym, takim jak lustro czy parasol. I prawie przez cały czas to moje nieustanne wrażenie, że jestem niewidzialny. Pragnienia rzadko zostają wysłuchane, a jeżeli w ogóle, to i tak lekko zdeformowane w stosunku do pierwotnego sensu. Mimo to chciałbym być w domu LuLu, chciałbym być w LuLu – wtedy wiedziałem, że to ona, a wewnątrz jej domu miało mnie tylko w tym utwierdzić bez reszty. Dni wielkie często następują mimochodem, zupełnie niepozornie i nieoczekiwanie. Tak miało się stać i tym razem. Odważyłem się. Nie wiem jak to się stało, ale się odważyłem i otworzyłem dobrze znajomą furtkę. Krzaki i drzewa w ogrodzie Lu, moje spragnione oczy i narastający strach przed Jej reakcją i słowa które, miałem wypowiedzieć. Postanowiłem się nieco opamiętać i całą swoją nadwrażliwość przenieść w tej jednej chwili w oczy LuLu, która otworzy mi drzwi i na pewno zapyta o co chodzi.

Znikam w sobie zbyt często. Nie komplikuję sobie życia, którego w zasadzie nie prowadzę. Na imię mam LuLu i żyję sama w starym domu. Postanowiłam, że czas pozostawię po sobie w swojej bibliotece, do której się specjalnie przygotowałam. Nie przeczę, że strach przed człowiekiem zamienił mnie w ducha, o którym myślę i którym jestem od zawsze. Mój dzień to noc i wtedy wszystko przybiera inny rodzaj skupienia. Kiedy chodzę po domu tworzę ruch, który zaraz potem zamienia się w czas. Wtedy to próbuję go nazwać i sprecyzować jakimś odniesieniem, by potem (za jakiś czas) kojarzył mi się z owym wydarzeniem, dniem, nastrojem. W taki oto sposób moja biblioteka mówi do mnie, kiedy przechadzam się po niej wzrokiem, kiedy ją dotykam zachowując kurz. Nie uważam jednak bym była zakładniczką swoich obsesji. Jest to raczej rodzaj odsunięcia (jakże świadomego) od zabójczych wpływów szarej mazi, którą jeszcze czasem umiem dostrzec pamiętając wczesną młodość. Kiedy siedzę, wiem że ufam ciszy. Kiedy stoję, zrywam więzy ze spokojem i nadchodzi okres myśli. Kiedy idę, czuję nadchodzące zmiany w moim domu, który patrzy jak zmieniam żyły w potok. Moje dłonie przenikają wszystkie

kąty mego domu, znają ślady wszystkich czasów, które przecież sama tworzę. Patrzę w okno, patrzę w lustro – widzę ślady krwi na śniegu pozostałe po ucieczce z mego świata kogoś z zewnątrz – może kota. Przenikanie tajemnicy prowadzi często do obłędu życia świadomego, z którym rzadko można bywać na przyjęciach widząc miły zbyt kosztowne, słysząc kroki zbyt łagodne, by kobieta je czyniła o intencji jeszcze czystej. Zanikł pośpiech, Lu.

* * *

Pustkowie wyglądało zwyczajnie jakby nie miało nóg, ani sił by iść dalej w głąb siebie. Bardzo chudy człowiek – raczej bez powiek, lecz nie o zwyrodniałej twarzy rozniecił ogień, by przenieść tu choć kilka kolorów z zatoki, nad którą niegdyś siadywał. Z jego myśli powiał smutek i wtedy zrozumiał, że nigdzie nie znalazł nikogo. Nie potrzebował pocieszenia ani zaproszenia do którejś z bajek, o których wiedział jedynie, że się nigdy nie spełniają. Chciał jedynie w porę wstać i iść dalej, by nie przegapić końca. Kiedy się już podniósł i zabliznił samotnie, tworząc smutek gęsty jak szyba, umarł niesiony wrażeniem spokoju.

W pustym pokoju na tle brudnej ściany wisi obraz przyszłych wypadków, które się tutaj rozgają. Nie ma tu krwi ani przemocy – jest raczej coś w rodzaju żalu i odwiecznej tęsknoty za nieobecnym, mimo że jest on na tyle sposobów wywoływany, wabiony. Uważnie się przyglądając z całkiem bliska, widać dopiero jak wszystko ogarnięte jest przeszłym wrażeniem przygnębienia i rezygnacji, nawet po gruntownym odświeżeniu i przemalowaniu płótna na czarno.

Byłem już stary, toteż prosiłem, aby śniadania podawane mi były zdecydowanie mniej wystawne. Stary szwajcarski myśliciel Wolfgang Pusznik powoli otwierał zmęczone oczy, choć dopiero je przebudzał ku działaniu, ku patrzeniu. Nigdy się nie spieszył i nie zamierzał tego zmieniać, trwał w swoistym, sobie tylko znanym rytmie, wertując myśli z uwagą myśliciela i niepewnością chłopca. Wciąż się dziwił i to jeszcze trzymało go w ciekawości życia. Był chory, o czym wiedział. Był samotny, o czym wielokrotnie mógł się przekonać. Był tu z uprzejmości kogoś, o kim wiedział. Zapomnienie bywa jedynym lekarstwem, które przez lata nadużywał, a kiedy się zestarzał na dobre, ktoś chciał to zmienić. Kiedy weszła siostra z zestawem bardzo drogich leków sprowadzanych specjalnie z zagranicy przez kogoś, kogo znał, już nie żył, wykrecony grymasem dalekiej podróży.

Mówili: „Biżu-laleczka, jaki piękny Biżu i jaki ładny. Powiedz coś śmiesznego, Biżu”. „Wczuj się w klimat” – mówili kiedy dorósł, a on słuchał i czasami, by zabawić gości, robił to. Biżu przypomina mi Pierrota, powiedziała kiedyś pewna dziewczyna o perłowych oczach i sercu, ale wyśmiano ją natychmiast i zgwałcono na oczach wszystkich. Wszystkim się to podobało, więc stało się jasne, że od tamtej pory będzie się już tak działo. Biżu uciekł. Nikt z nich nie widział go już potem, choć kilku go szukało. Zdaje się, że Biżu stał się wspomnieniem.

Ludzie z reguły żywią się oczami innych. Ludzie chodzą i czekają, by oczy innych choć na trochę stały się przestraszone czy zmieszane – wtedy łatwiej je pożreć, pozbawić koloru, a potem życia. Gdy oczy innych błędzą gdzieś daleko, ludzie już wypatrują owej chwili, kiedy myśli przerosną rzeczywistość i kiedy inni staną się inni. Widziałem chwile kiedy ludzie szukali bliskich sobie oczu innych, by po niedługim czasie zrobić z nimi to samo co z innymi. Teraz już wiadomo, że oczy innych są nie do zniesienia, że musiało by upłynąć zbyt wiele czasu, by inaczej na nie spojrzeć, by znaleźć inny sposób na pozbawienie ich blasku naturalnego koloru, którego nie da się wykupić poprzez opaskę pustych oczodołów.

Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek miał zrozumieć słowa, które napisałem tuż przed śmiercią, tuż przed rozstaniem z tobą. Byłem wtedy zbyt syty rozpaczą, abym cokolwiek umiał sprecyzować, napisać. Brakowało racji i ktoś z nas musiał stanąć na pozycji przegranego, pozostawionego. Bywają depresje, z których wznieść się nie pozwalają żadne skrzydła ani słowa, które muszą być zwykle ostatnimi. Przemylem oczy, aby lepiej widzieć krew, pióro było gotowe. Ktoś mógł zapukać, ale nie zrobił tego nikt, a tym bardziej ty. Czasu było dość, a i cała reszta dopisywała swój nieodwracalny, banalny i beznamiętny koniec. Słowa nie powinny zajmować zbyt wiele czasu – myślałem pogodzony. Słowa nie powinny przerastać aktu, nie powinny go rozpraszać, zwracać uwagi na szczegóły pozornie istotne, jak rozstanie z tobą. Powinny być raczej czymś w rodzaju pięknego intro do requiem na drodze ku wygaszeniu. Teraz kiedy już napisałem słowa, nie wydaje mi się, abym miał je kiedykolwiek zrozumieć, aby miała je zrozumieć śmierć, która ma mnie stąd zabrać od ciebie, od siebie więc może nie warto ich pokazywać nigdy nikomu.

Wiejska droga prowadziła donikąd. Mózg LuLu podzielał los drogi, która wiodła w tę stro-

nę. Nie było chyba poranka, a mózg LuLu i droga tak. Czasem myślę, że mózg LuLu jest trudniejszy od drogi, która wiezie na wieś. Nikt nie spał z bólu we wsi, gdzie droga nie nadała życiu sensu – celu, nikt prócz LuLu, który przechadzał się ze swoim mózgiem jak z psem na spacer, który nigdy nie dobiega końca, który właściwie nie ma granic ani określeń. Donikąd znaczy nie – nazwane, nie – zobaczone. LuLu właśnie zapominał formułować swoje myśli, gdy w jego mózgu zrodził się pomysł drogi do nikąd – przed siebie, za siebie. Tak też zrobił kompletnie się nie namyślając. Wstał i ruszył w stronę swoich skojarzeń, które pochłonęły go na tyle, że zapomniał o swoim mózgu na końcu wiejskiej drogi, którą był.

* * *

Każdy posiada inny kontur i słabość. Słabości są z reguły trywialne, kontur bywa rzadko. Na wapiennej drodze znalazł się człowiek, o którym mawia się, że zbłądził, że jego myśli odnalazły zły wzorzec w krainie ułudy, do której teraz zmierza wabiony alkoholem i życiem bez pracy. Człowiek ten był kiedyś kimś. Był podziwiany i wielbiony jak radca, aż do momentu, w którym w to zwątpił. Porzucenie życia w pajęczyźnie obietnic, to jak pozbycie się pępownicy jeszcze w łonie matki, to skazanie się na tułaczkę bez miejsca, bez domu. Na wapiennej drodze w świetle słońca i księżyca świetnie widać kontur człowieka, cień oddający prawdę bez winy. „Człowiek musi mieć miejsce” – twierdził Bóg – „musi mieć swój kontur, którym zakreśla swoje królestwo władzy cielesnej, musi być ugłaskany jak skrzydła Anioła potrzebujące czułości wiatru i rozgrzeszenia”. Człowiek zmyślił sobie życie tylko po to, aby nie rozmyślać – twierdził stary Stwórca pogrążony w sensie w ogóle. Kiedy kontur bywa cały, życie jeszcze się kołacze, potem zmysły i zamysły czynią z niego często kontur nie do końca doskonały, prawie obcy jak odbicie, które nagle się zamyka po odbiorze własnej twarzy niezbyt znanej, całkiem obcej nawet teraz po zażyciu tego w ręce, co jest lekiem, nie trucizną.

Krew ma swoje sprawy. Bywa różna i zwodnicza jak jej partner lub nosiciel. Wydostać się z krwi jest niemożliwe, chyba że wolisz zasnąć bez niej kłopotliwie. „Starość zwalnia krew” – myślał jeszcze wtedy stary szwajcarski myśliciel Wolfgang Pusznik, siedząc zupełnie spokojnie na ławce w środku życia, dopóki nie zobaczył jej. Krew sprawia, że emocje widziane z daleka nag-

le przybliżają się do ciebie wchodząc do środka, stając się tobą. I tak też stało się z naszym starym szwajcarskim myślicielem Wolfgangiem Puszniakiem, widok jej samotnej w jego samotnych oczach ożywił krew, której się przecież nie spodziewał, na którą już nie liczył pochłonięty rozmyślaniami na temat przemijania i nieodwracalności zdarzeń. „Ludzie często pojawiają się za późno” – myślał kompletnie pogrążony obrazem, który zobaczył, który pokochał będąc samotny, o którym musiał zapomnieć chcąc nim pozostać na resztę czasu, gdzie krew wyznacza swoje sprawy i dopływy.

Nie widzieliśmy się bardzo długo, a ja nawet zdążyłem się nieco przyzwyczaić, że żyję bez ciebie, że śpiam bez ciebie, jakby to było moje inne życie. Czas, który został mi подарowany nagle zachowuje się dziwnie i często nad nim nie panuję, kiedy znika mi niezauważony. Gdy opieram głowę, wcale jej nie czuję, jakbym już przestał ją posiadać. Nie chce mi się jeść ani biegać, staję się podobny do gada, którego niegdyś w sobie zabiłem pragnąc ssaczej krwi. Lustro odbiło obraz, którym jestem, a może byłem niegdyś. Zająłem się czymś i wiem, że wcale mnie to nie pochłonie, myśląc o tobie Gerardzie, o twoim nagłym zniknięciu nad ranem, kiedy jeszcze dobrze oczy nie rozróżniają prawdy od wyobrażenia. W ramionach Sabiny i Florentyny odnajduję wprawdzie szczęście, ale świat kobiecy na zawsze pozostanie dla mnie zagadką skojarzeń i oczekiwań. Lata, w których zjadłem na tym swoje oczy minęły i coraz częściej dochodzę do wniosku, że to ty zmieniłaś mnie w człowieka, o którym myślałem będąc jeszcze chłopcem, stając się chłopcem, z którego wyjście często wiedzie tylko przez mężczyznę do grobu.

„Siądź nad rzeką” – często mawiał mi ojciec, głaszcząc mnie po ramieniu dla podtrzymania więzi męsko-rodzicielskiej. „Siądź nad rzeką i popatrz jak przemija to, czego w tej chwili nie możesz przeżyć, co wydaje ci się czymś absolutnie jedynym i ukochanym. „Usiądź synku i posmakuj przepływu i nurtu, który prowadzi w nowe sprawy, w nowe miejsca, gdzie czekają na ciebie jeszcze nie jedne choroby i tęsknoty, które zdominują stare i zamienią je w uśmiech.” Tak mawiał mój ojciec nauczony ruchu ziemi, miłości o której czasem trzeba zapomnieć, ludzi których należy od siebie odepchnąć, aby oni nie zjedli ciebie – tak mawiał dopóki nie umarł z tęsknoty za matką, którą zabił przypadek. Usiadłem nad rzeką, aby przyjrzeć się przemijaniu i falom losu, które dopadały mnie coraz częściej i silniej niż

było to jeszcze do niedawna. Czasem warto się zamyślić, by w ostatecznym rozrachunku zupełnie chłodno spojrzeć na rzekę, która poprowadzi dalej narrację za nas, przynajmniej na tym odcinku do mokradeł.

Chwilami trudno o spokojne oczy. Ktoś rozsiał w powietrzu niepokój jak pustkę, którą potem zabrał. Było nas trzech, może siedmiu, każdy czuł coś innego, choć były to te same osoby. Jedni upatrywali zbawienia w ciągłym przemieszczaniu, inni w pracy, ty w doskonaleniu się i medytacji. Wszyscy pili zagłuszając prawdę. Każdy czas ma swoich wielbicieli i każdy z nich coś innego pamięta, chowając tam przeszłość i czułość. Kiedy żyjesz dłużej zauważasz, że nie ma odpowiedzi, że zarówno Jezus jak i Miłość to ciągła walka, to przepływ i przypominanie, że pieniądze подарowane przez los w odpowiednim momencie zmieniają wszystko i wszystkich, czyniąc z nich niewolników numerologii. W samotności można odnaleźć spokój na jakiś czas, który i tak przepłynie pozostawiając wspomnienia i smaki, za którymi i tak się tęskni pomimo lat, z którymi przespaliśmy się mimo woli.

* * *

Żyję, bo chcę tak żyć. W śnie odnajduję niespełnione fuzje układów i sytuacji, z którymi przecież w życiu realnym nie mógłbym się spotkać. Wszystko tu stanowi jakieś światło wcześniej absolutnie mi nieznane, nienapotkane z przyczyn obiektywnych i bardzo często technicznych. Mówią mi, przynajmniej ta garstka, z którą czasami, niestety, udaje mi się zobaczyć, że marnuję czas i popadam w obłęd, ale to mnie ogarnia przejmujący żal na ich widok i widok ich myśli, które jak oni sami chylą się ku wytrawianiu resztek z przeszłości, już tylko ledwie pamiętając ją. W swoich snach jestem tym kim jestem, czyli nikim, życia doczesnego staram się pozbawić złudzeń i właściwie tak naprawdę go nie posiadam. Gdybym jednak chciał się zastanowić, co najbardziej mnie do niego ciągnie, to zapewne jest to lód i święty spokój – to cenię sobie z życia najbardziej. Jedynie.

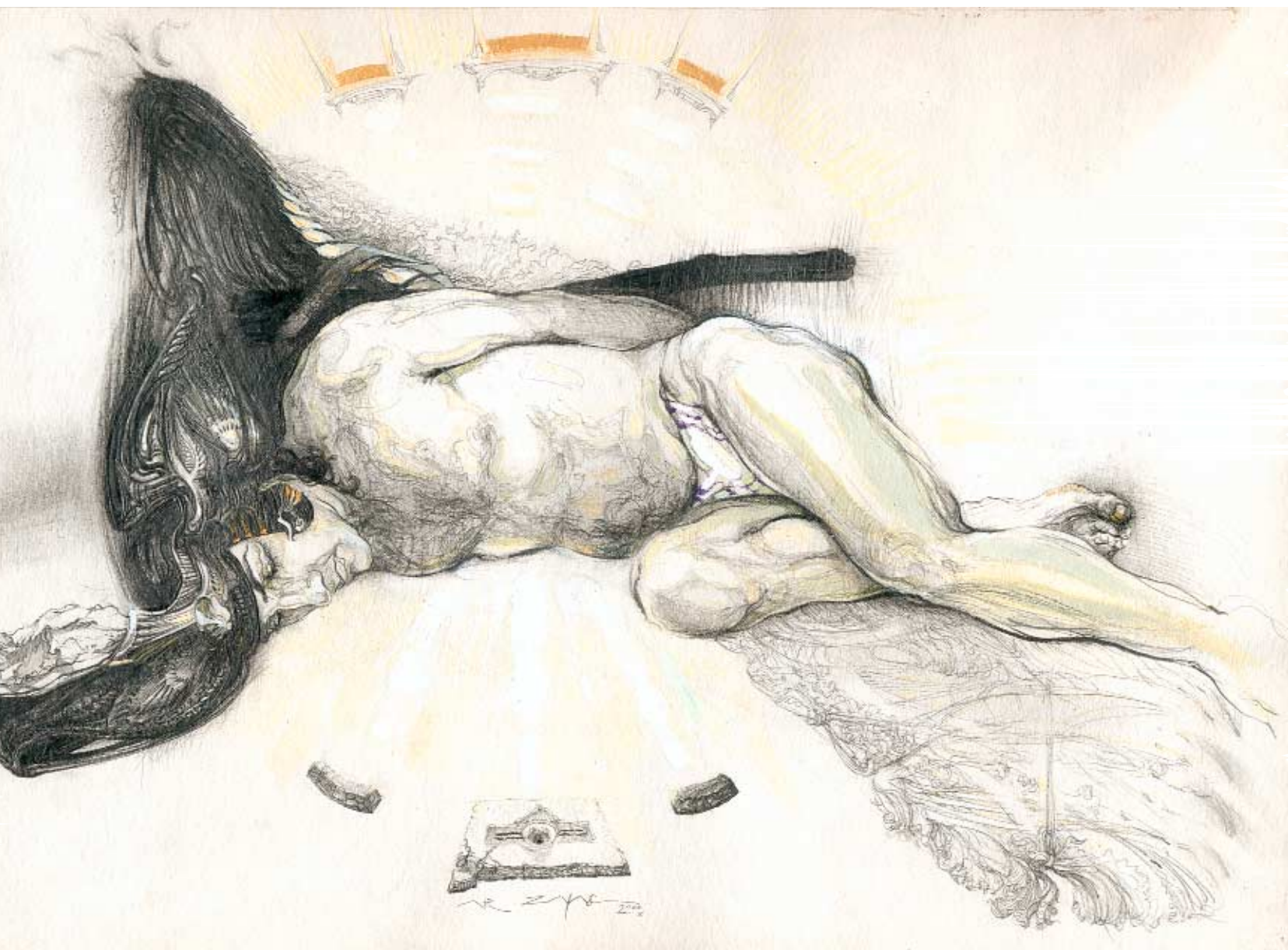
Bywają budowle, na widok których wydobycie słów wydaje się czymś kompletnie nie na miejscu. Miałem wtedy może szesnaście, może siedemnaście lat, gdy razem z pozostałą trójką braci zostaliśmy przeniesieni w to odludne miejsce, nie mające żadnej sławy ani wzmianki. Okolica była równie przejmująca jak i sama Katedra, której nikt normalny by się tu nie spodziewał ani nie wybudował. Już wtedy pomyślałem, że Czer-

wony Kardynał będzie kimś z pogranicza zmysłów, że zawładnie naszymi ciałami, a może i tą częścią, którą tak przecież pielęgowaliśmy, by była czysta, ku wiecznej chwale Chrystusa. Nasz przyjazd nie poruszył tu nikogo i w zasadzie prócz tej dwójki zakonników nikogo nie widzieliśmy. Cele były jak cały kompleks budowli – surowe i bez zbędnych szczegółów. Nazajutrz mieliśmy poznać naszego przełożonego, a przede wszystkim dostąpić łaski audiencji u Czerwonego Kardynała, o którym wiadomo było tylko, że jest tutaj niepodzielnym władcą czynów i myśli, i że w zasadzie poza Nim nikt nie wie o wielu znaczeniach wypisanych w krypcie i prezbiterium. Noce bywają długie jak sieci, a modlitwy nudne jak ludzie. Wydawało mi się, że wstaliś-

my, bo na to by wyglądało. Dopiero moje poczucie bezcielesności wydało mi się dziwne i nie pasujące zupełnie do grubych murów Katedry. Czerwony Kardynał ukazał się nam dosłownie na chwilę i wtedy zrozumieliśmy, że od dawna jesteśmy martwi dla świata i Boga.

Zaniedbałem wszystko, co tylko mogłem zaniedbać. Zaniedbałem rodzinę i uwagi, zaniedbałem pracę i rozrywki, dom i pieniądze, Boga i wiarę, założenia i plany, zaniedbałem przyjaciół i muzykę, wycieczki i skojarzenia. Po krótkim czasie zaniedbałem zdrowie i rozsądek, potem przyczyny i wątpliwości. Po zaniedbaniu czasu przyszła pora na chęci i sny. Kiedy już zaniedbałem miłość i wyprawy, wiedziałem że już nic w zasadzie mi nie pozostało, więc czekałem

Arkadiusz Zając
„Wystannik”, 2000
ołówek, akryl



końca zaniedbany własną wizją tego stanu. Zaniedbałem dni tygodnia i było mi już wszystko jedno kiedy to nastąpi. Kiedy którejś tam jesieni w końcu zjawiała się śmierć, tak ją zaniedbywałem, że zmarła mi na rękach, rzucając kosą o zaniedbany święty obraz, który ledwie się trzymał na zaniedbanym haku, na którym niegdyś zawisł mój zaniedbany psychicznie starszy brat.

Mnóstwo godzin spędziłem na schodach, nie dlatego, że miałem gdzieś schodzić, a jedynie dlatego, że zawsze w tych miejscach lepiej niż gdzie indziej słychać było dzwony, o które zawsze potykałem się moją strapioną duszą. To one wyznaczyły mój rytm życia, one mnie budziły i nastrajały do snu, ogłaszały ważne nowiny i rozstania. To na schodach po raz pierwszy dostrzegłem miłość i przemoc. To właśnie tu, przy wtórze dzwonów po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z nieuchronnej samotności, jaka mnie czekała pomimo obecności Aniołów. Leżałem oparty o jeden ze stopni zaraz przy wejściu na Starówkę, coś sobie zmyślałem, by nie trapić już do końca wydarzeń, które miały przecież wkrótce nadejść. Dzwony nadawały wieczorowi uroczystych rys, a mnie wielu skojarzeń z przeszłości, o które nie walczyłem. Kiedy opuszczasz czas, pozbawiając go sensu, wiadomo że się odrywasz na zawsze, że już nigdy nie będziesz w stanie spojrzeć ponownie na te same schody w ten sposób, że przełamanie nie jest już możliwe i potrzebne. Dzwony opowiadały południe, schody naświetlały cienie matową depresją, nie wszystko było jeszcze wiadome, nie wszystko uległo wymieszaniu. Ktoś zmałał, coś urzekło, wargi uwydatniały trwanie, a myśli przywoływały minione. Tymi schodami dochodzi się do dzwonów, tymi schodami opuszcza się ciszę dotykając serca czasu.

Liczne potomstwo zebrało się wokół gniazda, by pogłaskać ciało ojca niezupełnie już sprawne, zmarłe. W miejsce oczu wetknięto kamienie, a zamiast nogi zasiano niepokój – jak dawniej, jak przed chwilą. „Potomstwo jest królestwem” – mawiał ojciec za życia, choć sam stronił od towarzystwa bliskich. W naszym gnieździe istniał spokój, w naszym gnieździe bywał ojciec, choć matka twierdziła że przeżył z nią całe życie. Ich liczne potomstwo wskazywało na jego obecność, choć właściwie był jedynie wzvodem, a nie myślą jak twierdziła matka. Pieniądzy brakowało, więc po latach to my podjęliśmy decyzję o separacji jego ciała od życia, którym właściwie specjalnie się nigdy nie przejmował – jak i nami. Zebrałiśmy się teraz wokół jego ciała, by przemyśleć resztki tego, co pozostanie po sprzedaży ■

SILACZKA SYZYFA

15 maja br. w OPK „Gaude Mater” Rafał „Jeżyk” Kasprzak zaprezentował publiczności częstochowskiej swój nowy tomik wierszy pt. „Sennik Syzyfa”. Jest to druga książka na koncie autora, a trzeba było na nią czekać aż kilka lat. Rafał tłumaczy długą przerwę trudnościami finansowymi (kto ich nie ma?), bardzo oszczędną kalkulacją kosztów, a także szlifowaniem kształtu poetyckiego zbioru. Wierszy jest niestety tylko piętnaście, krótkich w formie, lakonicznych w treści. Zamiast rozległych fraz opisowych przeważają skróty myślowe, wrażenia ułamkowe, odpryski emocji, o nieco łagodniejszej wymowie od poprzedniego „Ostrego dyżuru” („piżdzi jak w kieleckiem”). Autor stwierdził, że dojrzewa – dla obecnych na sali krytyków było to jednak zbyt szybkie samouspokojenie. Czy na pewno wiersze „Jeżyka” są już klasyczne, a jego świat poukładany jak klocki lego? Nie sądzę. Konwencja snów może być myląca, bo z krótkich zdań nadal wyziera świat postrzępiony, zniszczony, przesiąknięty pesymizmem, tak jakby autor ratował swoje wnętrze po jakiejś gigantycznej katastrofie. Dzisiejsza rzeczywistość może przerazić wrażliwego osobnika i zburzyć jego przekonania czy system wartości. Być może „Jeżyk” czegoś takiego doświadczył. Koncentrowanie się wyłącznie na świecie wewnętrznym to kolejny zarzut pod adresem Kasprzaka. Klaustrofobiczna atmosfera może męczyć niektórych czytelników. Może warto czasami otworzyć okno na słońce? Jednak taką drogę twórczą autor wybrał i konsekwentnie się jej trzyma. Nie można mu tego zabronić. Egocentryczny zapis doznań powoduje jednak, że publice poszukującej przeżyć zbiorowych ciężko w jego poezji znaleźć coś dla siebie.

Pogrzebowa niemal powaga była silnym akcentem wieczoru: czterech mężczyzn w czarnych garniturach przy stoliku, przy małej czarnej, aktor Marian Florek czytający przejętym głosem przy akompaniamencie fortepianu, cyrulicy czasu manipulujący przemijaniem... Rafał wyczarował jakiś nastrój podczas wieczoru, lecz czuć było jednocześnie kilkutonowy ciężar. Ciężar syzyfowej pracy? Codziennego trudu zaczynania od początku? Zmagania się z egzystencjalnym brakiem wiary? Żeby odpowiedzieć sobie na te pytania i skonstruować szkielet światopoglądu autora, musiałbym poczytać więcej jego wierszy. Zawartość „Sennika Syzyfa” traktuję jako prolog do czegoś większego, bo mam niedosyt, jak po wypiciu małej lampki cierpkiego wina. Lektura zajęła mi pięć minut ■

S. Burszewski

Rafał „Jeżyk”
Kasprzak
„Sennik Syzyfa”
Związek Literatów
Polskich,
Kraków 2002.

Ujarmiona emocja

Drugi tomik poetycki Kasprzaka po debiutanckim „Oстрым ды́журзе”. Napisany zupełnie odmiennie. Kwestia nie w wersyfikacji (to nieważne), lecz diametralnie innym spojrzeniu na siebie, bliźnich i rzeczywistość.

Nie ma też wulgarnych słów dla „upiększenia” tekstów lub epatowania nimi odbiorcy. Nihilistyczna nieraz postawa w „Oстрым ды́журзе” (gdzie znajdziemy kilka świetnych utworów) ustąpiła miejsca spokojowi, uciszeniu, skłasyicznieniu fraz, całkowicie różnej „filozofii” całości. Liczy się także 6 lat, które upłynęły od debiutu. Poeta dojrzał. Przestał fascynować się słowem i wykrzyknikami. W „Senniku Syzyfa” zwraca uwagę głównie na zawartość myślową.

Jest jeszcze jedna przyczyna konwersji. Oto krótki wiersz, który może stanowić klucz do całego tomiku:

Wyzaczyłem czas
Na marzenia i sny
Podjąłem pracę
Czyniąc się wolnym
Odnalazłem Boga
Dopóki wiary starczy
Wierzę chociaż nic się
Nie zmieniło



Takie wyznanie implikuje wiarę w Opatrzność, wyższą moralność, wolną wolę oraz przyjęcie za kryteria postępowania, choćby teoretycznie – Dekalogu. Autor już się nie szamocze, bo znalazł w sobie odbłask boskiego ładu, sens życia: pracę, pracę na wzór Norwida. Również pełną satysfakcję w rodzinie, o czym tylko napomyka tu i ówdzie, niezwykle dyskretnie. Owa wstrzeźliwość w wyrażaniu uczuć charakteryzuje cały cykl wierzy. Kasprzak potrafi trzymać swoje poetyckie psy na uwięzi. Tej oszczędności słowa służą elipsy, aluzje, niedomówienia, podteksty, dwuznaczniki itp. Dlatego „Sennikowi Syzyfa” nie można zarzucić przegadania. Lapidarność wypowiedzi jednak kosztuje. Pola znaczeniowe zachodzą na siebie, teksty owija szara mgiełka, co utrudnia odczytanie niektórych ezoterycznych wierszy lub ich fragmentów.

Ich tematyka, problematyka? Podobna jak u każdego poety: przemijalność wszystkiego, co miało początek, zwłaszcza ludzi; miłość, śmierć, zagadki bytu; egzystencja człowieka przypominająca właśnie bezskuteczny trud Syzyfa. To nie Prometeusz, lecz Syzyf może być symbolem ludzkości.

W tomiku młodego autora erotyki nie ma. Znalazłem jedynie zwrot ku anonimowej adresatce: *Jesteś owocem / rozebranej soczystej / pomarańczy*. To wszystko. Pozornie wiersze intelektualne, stonowane, ale pod tym spokojem wyczuwa się pulsowanie uczuć, stłumione, ujarmione.

Wszystkiego o twórczości Rafała Kasprzaka powiedzieć się nie da. Nie tylko z braku miejsca. Każda drobiazgowa analiza, polegająca na rozłożeniu wiersza na czynniki pierwsze, a uprawiana przez wielu „uczonych” polonistów-krytyków – moim zdaniem – nie ma sensu. Zabija bowiem to coś nieuchwytnego, co jest poezją. Pozostaje zawsze reszta. Może właśnie najważniejsza.

Czego mi natomiast brakuje w tomiku młodego poety... Odrobiny szaleństwa■

Tadeusz Gierymski

* * *

Jeszcze białe
kartki kalendarza
w adresach bohaterzy
wyklęci ze spisu ulic
numer stopy stan
konta pod kreską
kalendarz stuletni milczy
jakby nic się nie wydarzyło

* * *

Utwierdzam się
w przekonaniu
że zgoda buduje
uczucie łączy lub
dzieli na zawsze
muzyka łągodzi obyczaj
tylko w zaciszu domu
wiarą czyni cuda
a brak doprowadza
do nie

Neoartysta

Oderwany od rzeczywistości
zmartwychwstajesz
w świecie fikcji
zrywasz więź ze światem
odchodzisz
uprawiając kontrabandę
własnych możliwości

* * *

Została gorycz chwile
wymieszane z miodem
zacierą piasek czasu
codziennosc wydała
owoc niepewności

z każdym przebudzeniem
odnajduję dziś

* * *

Na dworze wiatr
przegania liście
krople na szybie
umierają
kawą rozgrzewam
kłęby myśli
muzyka zmysły
uspokaja

A kiedy w ciszy
dom zamiera
słyszę wskazówek
trzepotanie
jak ptak zraniony
spadam na dno
i z nową wiarą
wciąż powstaje

Edyty Załęckiej pojmowanie ciszy

Już bez mała rok temu ukazał się drugi tom poetycki Edyty Załęckiej pt. *Nokturn ciszy* (AULA 2001). Sporo więc czasu upłynęło, zanim wreszcie zabrałem się do napisania o nim paru słów; słów, które są dla mnie – paradoksalnie – jedyną szansą przybliżenia się do twórczości tej częstochowskiej „poetki milczenia”... Załęcka jako autorka wiersza zatytułowanego *cisza* piękniejsza niż sonet ma w tej materii protoplastów w twórcach największej miary (oczywiście przy zaznaczeniu całej odmienności poetyckich realizacji). O ciszy i milczeniu dużo pisali Norwid i Maeterlinck. Mallarmé uważał, że wiersz idealny powinien być „wierszem milczącym, z samej tylko bieli”. Przyboś radził pisać poezję „na milczenie”, a Różewicz – „aż do milczenia”. Kamińska i Krynicki „uczyli się” milczeć (ten drugi zresztą ciągle to robi), Wojacek natomiast w milczeniu widział (słyszał) „poemat doskonały”. Poeta Gennadij Ajgi ukuł nawet pojęcie „sztuki milczenia”... Dołączając do tej listy incipit jednego z wierszy Załęckiej z cyklu *pojmowanie ciszy* („więcej milcz...”). Czuję się niemal sprowokowany do tego, by ponowić Gadamerowskie pytanie: „Czy poeci milkną?” Załęcka wydaje się być szczególnie blisko Norwida, w którego twórczości Maria Straszewska odnalazła doskonały przykład „symbiozy poezji i muzyki” (zob. „Przegląd Humanistyczny” 1964, z. 4). O ile jednak Norwidowskie „pojmowanie ciszy” (jako swego rodzaju „preludium pieśni”) pozostawało zasadniczo w zgodzie z romantyczną estetyką *correspondance des arts*, o tyle koturnowy tytuł książki częstochowianki oraz eklektyczne, „upoetyznione” podtytuły cyklów (partytura słów, akordy zmierzchów, impresje) niosą ze sobą niefortunnie „młodopolskie” konotacje (por. np. *Melodie zmierzchów* L. Staffa) i stanowią bodaj najsłabszy punkt tomu. Ale to uwaga marginalna. Najciekawszą – choć, trzeba przyznać, nie będącą odkryciem Załęckiej – stroną *Nokturnu ciszy* jest dla mnie coś, co za Piotrem Michałowskim można nazwać „ideologią milczenia”, a co konsekwentnie prowadzi do stematyzowania problemu mówienia i pisania w wielu metafizycznych refleksjach poetyckich rozrzuconych po całym tomie. Autorka zdaje się przebywać – jak Krynicki i wielu innych – w swoistym „czyścicu ciszy” (zob. artykuł K. Myszковского w „Odrze”: 1990, nr 4), w którym wypada przyjąć pokorną wobec słowa postawę poetyckiej ascezy:

„nadmiar słów ciąży do ziemi / (...) potop słów niweczy sens” – pisze Załęcka w jednym z autematycznych wierszy (s. 89). Takie ujęcie musi nieść ze sobą dyskredytację poezji jako narzędzia poznania rzeczywistości zewnętrznej. Ale nie tylko poezji. Choć poetka błogosławi dzieło „nie napisane” i przedkłada ciszę nad skomponowanie sonetu, choć – jak mówi – stać ją ostatecznie „tylko na wiersz” (s. 93) – jednakowo odważnie dyskredytuje dorobek europejskiej filozofii: „ustalony raz na zawsze / porządek Sartre’a / Spinozy / Heideggera / wart tyle co nic” (s. 88). Bohaterka tych wierszy „nie szuka prawd oczywistych” (s. 78); krnąbrnie neguje zdobycze nauki, bo uważa – a to znamy już z romantyzmu – że „dziś wiedzieć to za mało” (s. 68). Całą filozofię zastępują jej – trochę tak jak poetom haiku – „pszczoła”, „pestka wiśni”, „klucz żurawi”, „unerwienie liścia” (s. 88)...; również: „kropka na biedronce” (s. 94) czy „filiżanka herbaty” (s. 78). Nawiasem mówiąc, dokładnie o tym samym pisała Poświatowska w jednym z listów do I. Morawskiego: „Lubię Platona, lecz jak na złość wymykają mi się wszelkie sofizmaty i ciągle więcej wiem, patrząc na ogon wiewiórki i na liść, co sobie krąży, krąży i siada na trawie (...)”. Obie poetki zapewne najchętniej przemierzyłyby świat „krokami / bez wierszy” (s. 77); oczywiście gdyby to było takie proste, to znaczy – gdyby milczenie, cisza, odmowa mówienia i pisania nie pozostawiały bolesnego „poczucia winy” (s. 87), poczucia niewypełnionego zadania poetyckiego. Przyboś po mistrzowsku ujął ów dotkliwy

dylemat w swoich Zapiskach bez daty: „Żadne słowo mi nie wystarcza, / a bezsłowie mnie unicestwia.”... Odnoszę przy tym nieodparte wrażenie, że Załęcka mogłaby się podpisać pod niejednym wierszem wspominanej już Anny Kamieńskiej – cokolwiek miałyby to oznaczać; np. pod *Perłami*:

(...) zamilknij jakbyś był nagi
nagość jest małomówna
nie kłóć się nawet z Sokratesem
na temat nieśmiertelnej duszy
wżyj się w głąb milczenia
jak robak w miąższ jabłka na drzewie

Obym zdążyła opłakać słowa zbyteczne
nim obmyje je cisza

Daleko idące wydaje się bowiem pokrewieństwo Załęckiej z autorką Białego rękopisu i to nie tylko w kwestii preferowanej przez obie pisarki „poetyki milczenia”. Swojego czasu Kamieńska otwarcie przyznawała się – z jednej strony – do terminowania w szkole awangardy poetyckiej, z drugiej zaś – do pozostawania pod dużym wpływem twórców klasycznych, łacińskojęzycznych (zob. wstęp autorski do *Poezji wybranych*, Warszawa 1971). Poezję Załęckiej należałoby chyba również umieścić na przecięciu tychże poetyk. Zresztą, poetka właściwie sama to czyni, opatrując swój wiersz pt. *pojmovanie ciszy* mottem z Horacjańskiej *Sztuki poetyckiej*: „słowo gdy zbyteczne wnet z duszy odpływa...” (s. 95). (Fragment ten w większej części brzmi następująco: „We wskazówkach bądź zwięzły, by wypowiedź cała, / Stając się zrozumiałą, w pamięci została; / Bo słowo, gdy zbyteczne wnet z duszy odpływa.” – przeł. O. Jurewicz) Położenie silnego akcentu na zwięzłość, zrozumiałość i swoistą „niezbędność” („pozyteczność”?) słowa poetyckiego, jego głębokie zakorzenienie w sferze czytelniczej „potrzeby” – jaka by ona nie była – przyświeca bez wątpienia twórczości obu poetek... Na tym jednak poprzestaną; nie sposób ostatecznie ogarnąć problematyki, jaką niesie ze sobą *Nokturn ciszy*. Osiemdziesiąt trzy wiersze (jeśli dobrze zliczyłem) wymagałyby bardziej wnikliwego i – przede wszystkim – całościowego ujęcia, do którego mniejszy szkic nie rościł sobie ambicji. W tym miejscu również Czytelnikowi pozostaje jedynie zbytnią „pewność siebie zgasić ciszą” ■

Częstochowa, w kwietniu 2002 r.

Bartosz Małczyński

fot. Jerzy Piwowarski



Debiut nietypowy

W literaturze bywają debiuty późne i zarazem udane. Można by zacytować wiele głośnych nazwisk, zwłaszcza z literatury północnoamerykańskiej. I to zarówno w prozie i poezji. W tym ostatnim rodzaju wiersze są zwykle dojrzałe. Oko poety widzi świat, życie odmiennie niż w młodości. Banalne stwierdzenie.

Pięćdziesięciosiedmioletniemu Wojciechowi Grabałowskiemu, z wykształcenia ekonomicie (obecnie dyrektor banku) oficyna „Dom Książki” w Częstochowie wydała tomik wierszy pod skromnym tytułem: „Pytania albo liryczne okruszki”. Zbiorek ślicznie zrobiony – kolorowa obwoluta, twarda okładka, mnóstwo rycin, łącznie z karykaturą autora. Każde pierwsze słowo wiersza zaczyna litera stylizowana na wzór średnio-wiecznych inkunabułów. Przedmowa oraz próba omówienia wierszy pod względem treściowym i stylistycznym. Nie dziwota, na takie edytorskie cudeńko stać dyrektora banku. Niestety, skojarzenie okładki z sześćdziesięciomaczerema stronkami jest marne. Daję głowę, że te dwa elementy szybko się rozlecą.

O czym pisze autor? Sprawy społeczne, zawodowe nie są obecne. Ucieczka w prywatność, bardzo pośrodkowa refleksja nad fundamentalnymi prawami życia, w którym najważniejsze są się uczucia łagodne, ciepło, miłość, wdzięk niczym z epoki sentymentalizmu. Piękno natury, przyrody, zwłaszcza wiosną. Ta pora roku należy do słowa-klucza poety, podobnie jak marzenia senne i na jawie. Autor przeżył już wiele zawirowań życiowych, aby dojść do wniosku, iż małe, miłe i intymne chwile są najważniejsze. Nie buntuje się już, jak młodzi, przeciw obiektywnej rzeczywistości. Godzi się na to, co jest, jednostka bowiem w świecie społecznym znaczy niewiele, jest jak listek na rzece o silnym nurcie. Znaczą natomiast dużo w osobistych kontaktach z innymi ludźmi, np. z kobietami. Potrzebuje takich kontaktów, nie grupowych, lecz osobowych.

Wydaje się, że poezjowanie „pamiętnika lirycznego” przypomina uprawę czy działkę za miastem, gdzie autor, wspólnie z kobietą, przez pryzmat przyrody, inaczej dostrzega świat i hierarchie wartości. Można tu, w cieniu drzew i zapachu kwiatów, pomarzyć, odpocząć, dojść do wniosku, iż człowiek wpisany został swoim losem w tajemniczy plan – kogo? czego? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. W jednym z ostatnich wierszy pisze: „Mam wszystko / i nie mam nicze-

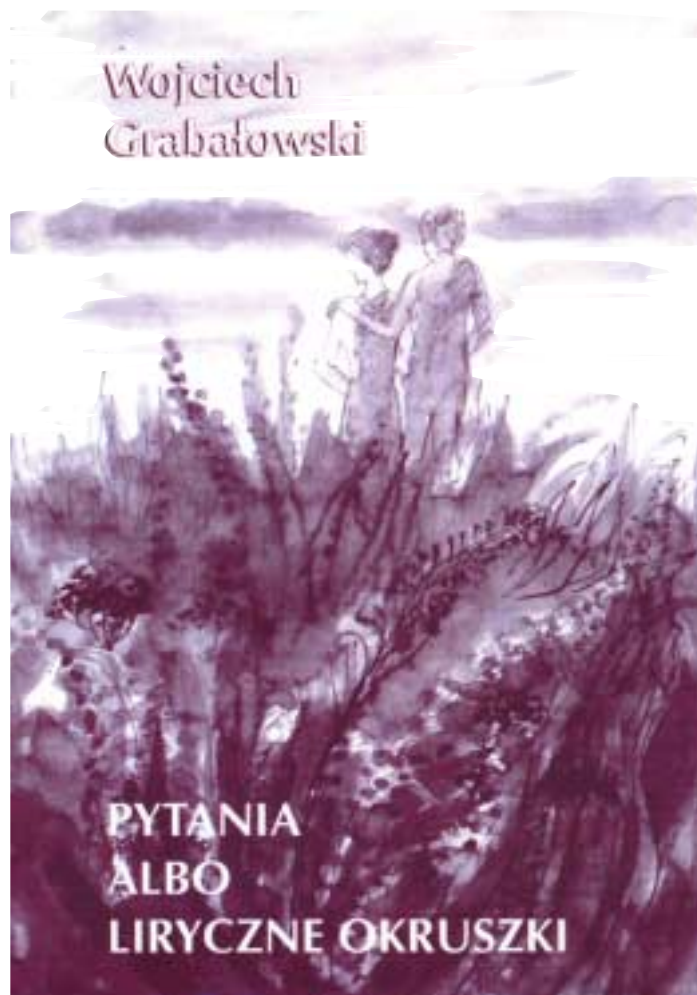
go”. Człowiek nie może dojść do pełnej Prawdy, ponieważ jest tylko subiektywna, względna. Autor wie o tym.

Ogólnie wiersze Wojciecha Grabałowskiego są ciepłe, pogodne, optymistyczne. Tu i tam zabrzmi jednak nuta łagodnego smutku, związanego jednak nie z ezoteryzmem bytu, lecz ze świadomością przemijania. Szczęście tkwi w rzeczach drobnych (charakterystyczne zdrobnienia, spieszczenia słów), miłości, czystym sumieniu, wewnętrznej harmonii. O wielkich sprawach możemy pomarzyć. Ten epikurejski motyw słychać w całym tomiku■

Tadeusz Gierymski

**Wojciech
Grabałowski**
**„Pytania albo
liryczne okruszki”**
Dom Książki,
Częstochowa 2002

*W odchłani beznadziei czarnej
znalazłem drugą połowę
zgubiłem wczoraj, mam jutro
a jutro jest takie zmysłowe*



Światło i cień



Pod takim tytułem ukazał się arkusz poetycki Bartosza Mazura – młodego, niepełnosprawnego poety. Właśnie... poety, bo pojawił się nagle jak meteor na lirycznym niebie Częstochowy. Byleby żywot miał dłuższy niż wspomniane ciało niebieskie. Dla mnie jest to tym większa satysfakcja, ponieważ przyszło mi odkryć ów niewątpliwy talent. We wstępie do książeczki napisałem o Bartku i jego twórczości nieco więcej. Na tym miejscu tylko sucha informacja o skromnej, debiutanckiej edycji. Po powtórny przeanalizowaniu trzydziestu wierszy, dodam jeszcze i to, że autor wie od jakich słów należy zacząć wiersz i jakimi skończyć. Bez gadulstwa. Podpowiada mu to chyba intuicja (poetycka), z którą się człowiek rodzi albo nie. Pewna fizyczna i psychiczna niedoskonałość Bartka w niczym mu tu nie przeszkadza. Widać Opatrzność sownie wynagrodziła mu to zdolnościami.

Przed wielu laty w podobnych okolicznościach spotkałem nieznaną jeszcze nikomu Halinę Poświatowską i umożliwiłem jej debiut prasowy. Potem poszła swoją drogą przerosnąwszy mistrza... Życzyłbym sobie, aby i Bartek zrobił podobną wolnę.

Arkusze („Światło i cień”) wydało bardzo szybko, porządnie i czysto wydawnictwo „Dom Książki” w serii Biblioteczka Jednego Autora.

Bartek Mazur ma całe życie przed sobą. Chciałbym, aby umiał je wykorzystać na niwie poetyckiej. Nawet z nieba, jeśli się tam znajdę, będę uważnie śledził jego literacki rozwój.

Nie spraw mi, Bartoszku, zawodu! Bo będę straszyl...

Tadeusz Gierymski

W niepamięć

Zegar bezduszny
pędzące życie
człowiek dni liczy

czas litości nie zna
myśl ulotna
przemijanie

pożółkłe listy
i szkolna ławka za małą
matczyne piersi za ciasne
stroma droga

dwa światy
teraźniejszość i przeszłość
różne czasy
bliskie a tak odległe.

Na skraju metafory

Bezbarwny obraz
wygaszone świece
półmrok
nie zużyte słowa
krążą w tańcu bezsenności
rozpołowiony poeton
dziura w pajęczynie życia

Natchnienie

Złoty deszcz
w monografii płonącego zmierzchu
o zielonym monolicie
zamiast liści niesionych wiatrem
kartki lecą
przez kaszmirowy listopad
po moście miłości
z serca do serca
purpurową łódką
płynie samotny żeglarz

„Cóż jest piękniejszego jak wysokie drzewa”

JEDNYM Z WYDARZEŃ TEGOROCZNEJ PIELGRZYMKI akademickiej na Jasną Górę był wygłoszony blisko północy, w pełnej Sali Papieskiej, wykład profesora Wiktora Zina. Słuchaliśmy właściwie gawędy, tak dla niego charakterystycznej, połączonej z rysowaniem. Bardzo lubię te jego opowieści i rysunki. Profesor był jakiś czas – czym nie omieszkał się pochwalić – głównym jasnogórskim architektem. Efektami tej pracy nie jestem zbyt zachwycony (Brama Papieska). W każdym razie są one mniej rażące niż niektóre, nieco późniejsze, dzieła innych architektów, jak choćby zmodernizowane wały od strony zachodniej, atrapa fortecznych umocnień na bastionie św. Rocha, lampy-widły.

Wróćmy jednak do gawędy. Profesor mówił między innymi o wiekowej alei lipowej na Zamajszczyźnie, o kilkusetletnich drzewach, które ktoś po prostu wyciął. Zostały tylko potężne lipy przy kapliczce z Chrystusem Frasobliwym, pięknie rysowanym przez profesora w czasie wykładu. Przyczytał też profesor swą ówczesną rozmowę. Zapytał: „Panie, czemuż pan wycina te drzewa?!” „A, bo mi zasłaniają moją wieżę z pustaków.”

Rząd kasztanowców po południowej stronie ulicy Siedmiu Kamienic to nie trzystuletnie lipy, a szklano-aluminiowo-granitowa elewacja i kanciasta bryła nowego budynku Akademii Polonijnej, który jak okręt wrzyna się w przestrzeń – to jednak coś więcej niż owa wieża z pustaków. Niestety, sposób myślenia rektora Kryńskiego wydaje się pod tym względem podobny do myślenia owego „pana od wieży”. Drzewa zasłaniają – to je wyciąć! Jakim kontrastem wobec powyższego jest troska o każde drzewo wykazana przez proboszczów ks. kan. Mirosława Drabiuka i ks. kan. Andrzeja Sobotę oraz budowniczych cerkwii Matki Boskiej Częstochowskiej! Włączyli oni rosnące już drzewa w powstającą kompozycję przestrzenną. Na Akademii Polonijnej inaczej. W dodatku ten budynek wcale nie zachwyca. Ostre ścienia i budowa na planie równoległoboku zupełnie się nie tłumaczą funkcjonalnie, a działanie takiego kształtu wydaje się niekorzystne. Agresywna forma wdziera się w ciąg zabytkowej ulicy, bynajmniej jej tym kontrastem nie wzbogacając.

Władysław Ratusiński

L I S T O T W A R T Y

Do Wiceprezydenta Miasta Częstochowy Jerzego Kocygi

Drogi Jurku!

Wybacz, że do tak oficjalnej osoby zwracam się w ten bezpośredni sposób. Jednak żadne wysokie stanowisko nie zmieni faktu, że chodziliśmy do jednej klasy ówczesnego Liceum Ogólnokształcącego im. gen. Karola Świerczewskiego przy ulicy gen. Władysława Sikorskiego w Częstochowie i razem zdawaliśmy tam maturę. Sprawa, o której chcę napisać, dotyczy właśnie tamtych stron: dzielnicy podjasnogórskiej, a szczególnie pobliskiego Rynku Wieluńskiego.

Odrestaurowano domki i kamieniczki wokół Rynku Wieluńskiego i na podjasnogórskich uliczkach bez zmian i przeróbek. Świecą jasnym, wapiennym tynkiem. Zachwycają białe podwórka z pnącymi różami. W domach znajdziesz pensjonaty, hoteliki, jadłodajnie dla pielgrzymów, galerie sztuki. Rynek wybrukowany **kocimi łbami**, a nie żadną betonową kostką. Odbywają się na nim kwiatowe i warzywne targi. Czy warto o tym mówić? Dotychczasowe działania i brak działań sprzyjały postępującej degradacji tego miejsca nie tylko w czasach PRL-u, ale, niestety, także później.

Wiem, sprawa jest trudna i złożona, nie wszystko zależy od władz miasta. Jednak są problemy, które właśnie tylko te władze mogą rozwiązać. Wiele zależy tu od Ciebie. Mam na myśli zabytkową nawierzchnię Rynku. Pamiętasz naszą rozmowę sprzed paru lat? Zajmowałeś wtedy wysokie stanowisko w Urzędzie Wojewódzkim. Ówczesne władze miasta zmieniały nawierzchnię na Starym Rynku. Mówiliśmy wówczas także o wcześniejszych niefortunnych – a wprowadzonych w czyn – decyzjach dotyczących ulic Wieluńskiej i Trzeciego Maja. Zniszczono tam resztki zabytkowych kocich łbów – nikomu, poza naszymi miejskimi „estetami”, nie wadzące rynsztoki – wykładając wszystko betonową kostką. W lokalnej prasie czytałem zachwyt, jak to ulica Wieluńska wypiękniała, pozbyła się bruku pamiętającego cara (!).

Warto zdać sobie sprawę, że nawierzchnia w krajobrazie zabytkowego miasta ma niezwykle istotne znaczenie – sama może być zabytkiem. Rozumieją to dobrze w miastach niemieckich. Za

przykład mógłby posłużyć hanzeatycki Lüneburg, gdzie otoczony pięknymi kamieniczkami rynek z ratuszem – wszystko zabytki wysokiej klasy – wybrukowany jest właśnie kocimi łbami. Dla wygody przechodniów poprzecinano go wąskimi chodniczkami z płyt. Nie zakłóca to harmonii i piękna, jakie tworzy owa nawierzchnia z całą zabudową rynku. Niesłuszny więc był argument wysuwany podówczas przez niektórych, że panie łamałyby obcasy na bruku. Trzeba było kamienie brukowe na nowo równo ułożyć i dodać wspomniane chodniczki (obecnie jest nawet możliwość zastosowania przezroczystego asfaltu), a nie wyrzucać kamieni na śmietnik. Niemcy skupują takie kamienie, aby ozdobić sobie otoczenie domów!

W dodatku na owym rynku w Lüneburgu odbywają się w określone tradycją dni tygodnia targi – i nikomu taka nawierzchnia nie przeszkadza, tylko dodaje miastu uroku. U nas już wiele lat temu targi przegoniono, a zrobiono – parking. Pod tym jednym względem wizyty papieskie nie przysłużyły się miastu. Przed pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II ówczesny duszpasterz akademicki – a obecny infułat, redaktor naczelny „Niedzieli”, ks. dr Ireneusz Skubiś – zachwycał się w kazaniu, jakie to cuda sprawia pielgrzymka Papieża w naszym mieście nawet od strony zewnętrznej, że miejsca zaniedbane dotąd stały się czyste i piękne. Istotnie, odnowiono w błyskawicznym tempie elewacje kamieniczek przy ulicy Wieluńskiej – ale było to tylko pomalowanie tynków. Zaś Rynek Wieluński w jedną noc wyasfaltowano, zamieniając go w parking. Znikła w ciągu paru godzin (a przynajmniej doznała poważnego uszczerbku) niepowtarzalna atmosfera tego miejsca.

Szkody wówczas wyrządzone nie są nie do odrobienia. Zabytkowe kamienie leżą pod warstwą asfaltu. Pozostały też niezasfaltowane – do tej pory – zabytkowe (uparcie używam tego słowa) brukowane wjazdy do sieni bramnych, tak charakterystyczne dla tego miejsca. Z ulic 3 Maja i Wieluńskiej później, już w nowej epoce, kamienie po prostu wyrzucono.

W czasie naszej rozmowy zgadzałeś się ze mną całkowicie, dodając własne krytyczne uwa-

gi dotyczące tych realizacji, ale nie miałeś na nie wpływu. To należało do władz miasta. Obecnie należy właśnie do Ciebie. Jako wiceprezydent, wybrany przeważającą większością głosów radnych, co świadczy o uznaniu dla Twoich kompetencji, niezależnie od politycznych podziałów, masz – tak myślę – duże możliwości działania, a także dopilnowania, aby plany uporządkowania Rynku Wieluńskiego nie spowodowały strat nie do naprawienia, błędów niewybaczalnych, a tak by się stało, gdyby komuś przyszło do głowy wybrukować Rynek betonową kostką.

Nie jestem przeciwnikiem używania tej kostki. W wielu miejscach sprawdza się doskonale. Mógłbym wskazać takie ulice, gdzie – oprócz tego, że jest wygodna, łatwiejsza do naprawy – jest po prostu ładna, harmonizuje z zabudową. Tak jest na przykład na ulicy Śląskiej, czy Kopernika, szczególnie w tym fragmencie, gdzie zastosowano czerwoną kostkę w kształcie łusek. W wielu jeszcze miejscach by się przydała. Ładna i pożyteczna okazuje się betonowa kostka na ścieżkach rowerowych (oby ich było jak najwięcej!), ale już na placu jasnogórskim poszerzony chodnik z szarych kostek jest tępy, bez wyrazu, zakłóca piękno tego miejsca. Betonowa kostka nie nadaje się w miejscach o zabytkowym charakterze, tym bardziej, jeśli istnieje dawna nawierzchnia z kamieni brukowych. Takim właśnie miejscem jest Rynek Wieluński i podjasnogórskie uliczki – cudowna oprawa Jasnej Góry. I to nie tylko jako układ urbanistyczny, ale jako całość z istniejącą zabudową, dającą miejscu ów wyjątkowy klimat, wart zachowania. Miejscu, które przy odpowiednim potraktowaniu mogłoby się stać także wielką atrakcją turystyczną.

To nie tylko moja opinia. Podobnie myślą wybitni artyści, historycy sztuki, krytycy, z którymi rozmawiałem. Kto przyczyni się do ratowania tego miejsca, będzie miał wiekopomną zasługę dla kultury naszego miasta, dla kulturowego dziedzictwa Polski, Europy i świata. Można to powiedzieć bez żadnej przesady.

Życząc Ci dalszych sukcesów i możliwości owocnego działania dla dobra miasta po wyborach samorządowych, serdecznie pozdrawiam
Władysław Ratusiński

ZAGLĄDAJ NA STRONY SERWISU INTERNETOWEGO „ALEI 3”:

<http://www.aleje3.now.pl>

Swoje propozycje na forum dyskusyjne można przesyłać na adres:

aleje3@emediapro.com.pl

D Z I W I Ę S I Ę

WPÓŁ DO ÓSMEJ WIECZOREM. PRZEZ OKNA AULI „Niedzieli” widać płomyki świec. Znak, że rozpoczęły o siedemnastej kolejny wieczór artystyczny Aleksandra Markowskiego trwa. Który to już taki wieczór? Byłem tylko na kilku. Jeszcze w Muzeum, w wypełnionej sali, gdy wśród obrazów siedziało się na podłodze. Markowski-senior gra na skrzypcach, Stanisław, słynny fotografik – na fortepianie. Śpiewają, recytują uczennice i uczniowie, studentki Akademii Muzycznej i wszyscy zebrani, posługując się rozdwanymi śpiewnikami. Te śpiewniki zasługują na szczególną uwagę. Przygotowywane przez Aleksandra (charakterystyczna szata graficzna, odręczne pismo, piękne rysunki) zawierają wybierane, wyszukiwane przezeń piosenki. Ulubione wątki, obecne w różnych proporcjach na poszczególnych wieczorach to: wspomnienia historyczne w patriotycznej tonacji, walka o niepodległość – powstania, legiony Piłsudskiego, Cud nad Wisłą, lata II wojny światowej, przedwojenne piosenki, liryka, motywy cygańskie, żydowskie. Konarski – Refren, Gałczyński, Papusza i wielu innych autorów. Wiersze i piosenki znane i te odnalezione przez Aleksandra oraz jego czytelników – cykl „Zapomniana piosenka” kontynuuje on wytrwale w Tygodniku Katolickim „Niedziela”.

Spotkania współtworzą ich uczestnicy. Markowski powinien mieć własny lokal (może piwnicę artystyczną), zapewniający kameralne warunki, ale wystarczająco duży, by pomieścić nie tylko dość liczną grupę stałych, wiernych sympatyków. Wyobrażam sobie, że przy odpowiedniej informacji publiczność szturmowałaby drzwi i okna, bo też jest to działanie artystyczne zupełnie wyjątkowe. W takim lokalu gospodarz wieczorów miałby możliwość swobodnego rozwinięcia swych pomysłów scenograficznych. Choć i teraz w każdej sali, jaka jest do dyspozycji, pięknie działają zawsze obecne obrazy Aleksandra i jego ojca, Kazimierza, oraz polne kwiaty (niezapominajki, maki) – i świece.

Kameralność jest warunkiem powodzenia tego przedsięwzięcia. Znane mi próby przeniesienia go do dużej sali z podziałem na scenę i widownię – uważam za chybione. Natomiast gdy wszyscy zebrani biorą żywy udział, gdy panuje atmosfera bezpośrednia i miła, jakieś pomyłki, nieudolności w śpiewie czy interpretacji tekstu – nie tylko nie rażą, ale stają się artystycznym tworzywem. Spontaniczność robi sympatyczne

wrażenie, a całość bezbłędnie wiąże akompaniament fortepianowy Kajetana Wojsyka. Odgrywane scenki, a także solowe występy muzyków – wokalne i instrumentalne – urozmaicają spotkania. Tym razem pięknym finałem był walc Chopina w świetnym wykonaniu prof. Stanisława Tomczyńskiego. Warto też podkreślić udział Adama Banaszkiewicza, śpiewającego ciepłym głosem przy wtórze gitary.

Sam Aleksander Markowski jest znakomity, a niektóre jego interpretacje mogą nazwać arcydziełami swego rodzaju. Tworzy je umiejętnie i z wyczuciem, posługując się głosem, gestem, ruchem i rekwizytami. Urzekająca atmosfera kabaretu sprawia, że czas się nie dłuży. Jeszcze jedna piosenka, jeszcze jedna i jeszcze... Wcale nie przeszkadza, że niektóre piosenki powtarzają się na wielu spotkaniach. Słowo wiążące jest żywe, nerwowe, pełne emocjonalnego zaangażowania. Bezkompromisowość Aleksandra, objawiająca się nieraz w dyskusjach politycznych zaciętrzewieniem, nie zawsze łatwym do zniesienia – tutaj służy powiedzeniu paru słów prawdy, mądrej refleksji. Jak choćby, gdy przedstawia teksty znakomitych autorów pochodzenia żydowskiego. Markowski podkreśla ich patriotyzm; rzuca słowa jasne prosto z mostu – o idiotycznych podziałach i o nienawiści jako wyniku diabelskiego działania.

Dziwię się, bardzo się dziwię, że Aleksander Markowski musi zabiegać o to, aby jego wieczory miały się gdzie odbywać. Wyrzucany z jednego miejsca, znajduje gościnę w innym. Uważam, że gospodarze tych miejsc oraz organizatorzy życia kulturalnego w naszym mieście powinni zabiegać o względy artysty, by zechciał u nich organizować swoje niezwykle wieczory!

Władysław Ratusiński



fot. Jerzy Płowowski

LITERACI W JANOWIE

W roku 2000 zrodził się pomysł założenia klubu literackiego w Janowie. W grupie założycielskiej znaleźli się: Urszula Ostrowska, Ryszard Sidorkiewicz, Krzysztof Lampa, Marek Mańkowski i Adam Korczyński. Janowski Klub Literacki rozpoczął swoją działalność w rok później. Z czasem grono zaczęło się powiększać. Dziś liczy szesnaście osób. Raz w miesiącu w janowskiej bibliotece odbywają się spotkania autorskie. Klub zapoczątkował Jurajską Jesień Poetycką im. Zygmunta Krasińskiego, która odbywa się w Złotym Potoku. Do tej pory odbyły się dwie jej edycje, w tym roku planowana jest trzecia. Klubowicze utrzymują kontakty z ośrodkami literackimi w sąsiednich gminach (Myszków, Krzepice, Dobrodzień). Dwa razy uczestniczyli w Myszkowskiej Wiośnie Poetów. Współredagują pismo „Echo Janowa”. Zajmują się również współorganizacją cyklicznej imprezy „Dni Gminy Janów”. Włączyli się aktywnie do akcji „Cała Polska czyta dzieciom”. Na dzień dzisiejszy czterech członków Klubu opublikowało swoje utwory, a R. Sidorkiewicz i R. Kasprzak należą do Związku Literatów Polskich. (Justyna Kowalik)

SZALONY WERNISAŻ

Artyści bez publiczności nie mogą funkcjonować we właściwym wymiarze. Trudny dla kultury czas podsuwa w tym względzie różne rozwiązania. Jednym z bardziej udanych był wernisaż trojga artystów: Jadwigi Żołyniak, Mariana Panka i Arkadiusza Zająca w **salonie mebli firmy „Kler” w Częstochowie, przy ul. Jana Pawła II 56/58.**

Obrazy artystów stały się naturalnym dopełnieniem wnętrza, w których atrakcyjne sofy, fotele, kanapy, pokryte głównie skórą, oraz inne meble, cieszyły oko kształtem, nęciły wygodą (ze wszystkich można było korzystać), a portfele zwykłych śmiertelników dostawały zadyszki. Ale też większość wyjątkowo licznej publiczności do takich nie należała. Byli tam przede wszystkim ludzie majątni, dla których dzieła sztuki powoli, z oporami, ale jednak nabierają znaczenia artystycznego.

Sympatyczne szefowe firmy i salonu stworzyły świetną atmosferę i postarały się, aby atrakcji oraz wszelakiego jadła i napojów było pod dostatkiem.

A obrazy? No cóż, miejmy nadzieję, że nie będzie im dane powiszieć tylko jakiś czas między meblowymi wspaniałościami i... powrócić do oszołomionych wernisażem twórców. (jam)

PRZYSTAWKA

Czerwcowy repertuar w OKF-ie wypełnił cykl pt. „Oscary – wielcy wygrani, wielcy przegrani”. Zaprezentowano filmy nagrodzone i nominowane do tej nagrody w bieżącym roku, m.in.: „Helikopter w ogniu” R. Scotta, „Męska sprawa” S. Fabickiego, „Piękny umysł” R. Howarda i „Władzę pierścieni”. Nowością w kinie studyjnym jest „Filmowa Przystawka”, czyli wyświetlane przed głównymi seansami krótkie filmy amatorskie kręcone ręką widzów. „(...)Seans filmowy bez dodatku wydawał się niepełny, widzowie czekali na krótkie filmy niczym na wykwinna przystawkę przed daniem głównym. Dziś, w czasach wolnego rynku, ciekawe, artystyczne dodatki zostały wyparte przez szum reklamowy (...)” – tak tłumaczą powrót do tradycji pomysłodawcy. Pierwszą „Filmową Przystawkę” przygotował Paweł Popko i Grupa Filmowa „Herbata”. Jest nim videoclip zespołu jazzowego „Robotobibok”. Krótkie filmy będą prezentowane sukcesywnie od września, a na razie można zgłaszać swoje propozycje na taśmach w biurze OKF. (SB)

FESTIWAL JAZZU

W dniach 17-19 maja br. odbył się w Częstochowie pierwszy festiwal jazzu tradycyjnego „Hot Jazz Spring”. Przez trzy dni grały w salach filharmonii i hotelu „Vegas” zespoły: „Five o’Clock”, „Zygi Jazz Band”, „Old Metropolitan Band”, „Trio Siergieja Wowkotrubina”, „Old Timers i Henryk Majewski”, „Ben Rinia and his Yerba Buena Hot Five” oraz Andrzej Dąbrowski i Trio Andrzeja Jagodzińskiego. Po sukcesach w ub. roku miejscowej grupy „Five o’Clock” jej lider, Tadeusz Erhardt-Orgielewski, uwierzył w miasto i podjął się energicznie organizacji imprezy. Udało mu się ją sfinalizować przy poparciu Urzędu Kultury i sztuki UM. Na festiwalu można było posłuchać jazzu nowo-orleańskiego. Mogli go też posłuchać przechodzący alejami, ponieważ

Jerzy Kupczyk, Arkadiusz Zając, Jadwiga Żołyniak, Marian Panek, Katarzyna Weber



phot. Jan Kukliński

w dniu otwarcia jeździła platforma samochodowa z grającymi muzykami. W programie imprezy była też wystawa fotografii Jana Bebela „Jazz live” i wieczorne jam session. Być może ta nowa atrakcja wpisze się na stałe w kalendarz majowych imprez naszego miasta. Oby! (SB)

DAVIES I KSIĄŻKI

23 maja br. Częstochowę odwiedził znany walijski historyk i pisarz Norman Davies. W Akademii Polonijnej wygłosił wykład promujący jego najnowszą książkę pt. „Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego”. Autor „Bożego Igrzyska” i „Europy” tym razem skupił się na przedstawieniu charakteru przeciętnego, przykładowego miasta z tego zakątka kontynentu (w tym wypadku Wrocławia) i jego wielonarodowych korzeniach (miasto na granicy kilku kultur). Przygotowuje następną książkę pt. „Wyspy” (historia wysp brytyjskich).

Na majowych targach książki w Warszawie jedyny częstochowski akcent to album fotografii Wojtka Prażmowskiego wydany przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe. Od kilku tygodni można też oglądać w TV reklamę atlasu samochodowego, przedstawiającą lot samolotem nad ruinami zamku w Olsztynie. Jura staje się modna! (SB)

DNI FANTASTYKI

Kolejne „Częstochowskie Dni Fantastyki” połączone z „Giełdą Komiksu” zorganizowało w dn.15-16.06.br. Gimnazjum nr 1 przy ul. Starzyńskiego i sklep „Fantasy”. W programie były m.in. pokazy filmowe (również Anime), prezentacja bractwa rycerskiego, turniej Warhammer Fantasy Battle oraz turnieje gier karcianych i sesje RPG u dyżurujących Mistrzów Gry. W tym roku ważne miejsce zajęły komiksy, gdyż przeżywają teraz renesans swojej popularności. Miesięcznie w Polsce wydaje się około 40 nowych tytułów, (tyle co kiedyś przez cały rok), wznawia się stare serie z lat siedem-

dziesiątych (Żbiki i Klossy). Epoka Pokemonów odchodzi w przeszłość. (SB)

GALERIA WWW

W internecie pojawiła się nowa Częstochowska Galeria Wirtualna „sART”, którą prowadzi Robert J. Bich przy AGFA Star Print w II Alei. Prezentuje ona różnorodną twórczość malarską i fotograficzną, także amatorską. W katalogu przeważają akty kobiece, portrety, pejzaże. W wiosennym wydaniu kwartalnika znalazły się np. fotografie M. Bafeltowskiej, D. Zaroda, A. Broncela, T. Jachury, A. Wasila, obrazy olejne T. Rzepeckiego i komiksy piszącego ten tekst. Chętnych na prezentacje w sieci kieruję pod adres internetowy: www.galeria.sart.pl. (SB)

ZMIASIA

MISTERIUM POD KATEDRĄ

W majowym i czerwcowym repertuarze naszego teatru znalazły się same powtórki i przedstawienia teatrów przyjezdnych („Perły kabaretu Mariana Hemara”, „Balladyna”, „Ferdurke”, „Rewizor”), głównie dla dzieci („Podróże Guliwera”, „Przygody Tomka Sawyer’a”, „Czarnoksiężnik z Krainy Oz”, „Calineczka”, „Kikerikiste”). W związku z tym chciałbym napisać kilka słów o spektaklu pt. „Rzecz o Franciszku”, który odbył się 5 maja podczas festiwalu „Gaude Mater” pod archikatedrą przy ul. Krakowskiej. Uważam, że jego formuła zasługuje na większą uwagę z kilku względów.

Po pierwsze: plastyczny rozmach widowiska. Świetne wykorzystanie fasady kościoła do dwupiętrowej sceny (na szczycie oczywiście urzęduje pa-

piez i przygląda się całemu światu z wysokości – średniowieczna hierarchia została zachowana). Niżej, na placu, rozgrywa się teatr ziemski. Na trzech równoległych poziomych scenach toczą się wątki poboczne – romans dowódcy krucjaty wojskowej (trochę przegadany), dramatyczne losy krucjaty dziecięcej, perypetie św. Franciszka w Ziemi Świętej z Turkami i sułtanem. Przestrzeń, przecinanie się poziomów i pionów, płaszczyzna placu i szerokie schody powodują, iż trudno sobie wyobrazić tę sztukę z tym smakiem plastycznym w innym, mniej monumentalnym miejscu wystawioną. Gra światła (nocą), sceny zbiorowe z pochodniami, śpiew chóru – nie można było narzekać na monotonię, która zawsze grozi sztukom historycznym.

Po drugie: temat. Organizatorzy zrobili rzecz na czasie. Tematyka konfliktu świata chrześcijańskiego i muzułmańskiego po 11.09. ub. roku trafia w samo sedno publicznych zainteresowań. Konflikt nie był jednak ekspozycyjnie nachalnie, bo czas akcji jest odległy i tylko przez porównanie można go odnieść do dnia dzisiejszego. Co ciekawsze, miałem wrażenie, że stronę arabską ukazano w świetle pozytywnym, a chrześcijańską jakby w duchowym kryzysie: drażoną przez chciwość i zachłanność władz kościelnych (kardynał to czarny charakter) oraz rycerstwa (nowe królestwa do podboju i władania), przez zdrady i intrygi prywatne, przez fanatyków i oszustów. Św. Franciszek wykpiwany u siebie, zdobywa szacunek sułtana i jako mędrzec może podróżować po jego imperium. Można zadać pytanie: „Czyja cywilizacja jest barbarzyńska – nasza czy islamska?” To już jest więcej jak ekumenizm, to dialog między wrogimi religiami toczący się na deskach teatralnych, a tematem tragedii – demaskowanie fundamentów naszej wspaniałej kultury.

Po trzecie: wychodzenie do widza, dostępność dla mas. „Rzecz” oglądali ludzie, którzy na co dzień nie chodzą do teatru i z ich komentarzy

(a także komentarzy okolicznych mieszkańców) wiem, że przedstawienie podobało się. Tego nie powiedzieli tubylcy ze Starego Rynku w latach ubiegłych. Sztuka, która czegoś uczy, pokazuje wielki świat w formie scen i dialogów, zadziwia strojami i wyszukaną mową, wzrusza tragicznymi losami i straszy przepowiedniami

(„Przegramy tę bitwę, czeka nas pożoga i ogień”) przypomina mi nieco średniowieczne misterium, które również odgrywano na placach pod gotyckimi katedrami. Kiedyś takie masowe widowiska były odpowiednikami filmu i propagandy, dziś są eksperymentem retro. Wydaje mi się, że ludzie chcą oglądać takie spektakle na

powietrzu i w powyższej stylistyce, bo to przecież pierwotna siła oddziaływania teatru. Podobnie jak sztuki grane po starogrecku w amfiteatrach i teatry chodnikowe. Warto robić ich więcej. Uważam „Rzecz o Franciszku” za przedsięwzięcie bardzo udane i składam gratulacje całemu stuosobowemu zespołowi. (S. Burszewski)



Fot. Alexey Iutin



Miasto Alexeya Iutina na fotografiach Jerzego Piwowarskiego

Bogata oferta

Indywidualna wystawa Andrzeja Wełmińskiego ma tytuł „CHaOs”. W prezentowanych pracach liczy się przede wszystkim warstwa intelektualna, pomysł – często zaskakujący – sposób przekazania treści. Jednak i pod względem formy plastycznej prace są frapujące. Zwraca uwagę pewna prostota środków, zestawienie surowego płótna z rysunkiem, malarstwem, kolaże, wprowadzenie do płócien elementów trójwymiarowych; obrazy przechodzą w obiekty, instalacje. Wyczuwa się klimat Teatru Cricot Kantora. Andrzej Wełmiński współpracował z Tadeuszem Kantorem, uczestnicząc we wszystkich spektaklach i manifestacjach artystycznych. Wystawę zaliczam do najważniejszych propozycji Miejskiej Galerii Sztuki w ostatnich latach.

Kiedy wszedłem do drugiej sali, w pierwszym momencie prace tam pokazane wydały mi się banalne, choć dobre pod względem warsztatu graficznego. Jak gdyby nie udźwignęły sąsiedztwa, mimo iż w obu wystawach jest obecny wspólny dominujący temat życia i przemijania. Dopiero gdy dłużej przyjrzałem się wystawionym pracom, dostrzegłem ich niepospolite walory. Prawdziwą rewelacją są dla mnie monumentalne rysunki, na których kształty ludzkiego ciała skamieniały. Trwałość i przemijanie, ślady minionego życia – to ciągle nurtuje artystkę. Zestawia skamieliny, w których pozostały świadectwa istnienia pradawnych stworzeń z kamiennymi figurkami, fragmentami ludzkich postaci, a może kamieniami o ludzkich kształtach. Te obiekty traktowane są równorzędnie. Umieszczone zostały obok siebie – jak trwające równej rangi świadectwa przemijania. (Krysztyna Szwajkowska „Historia naturalna”)

W Galerii Sztuki Dziecka „Zaczarowany ołówek”, bardzo owocnie działającej od dłuższego czasu w Miejskiej Galerii Sztuki, pokazano prace uczniów Zespołu Szkół Specjalnych im. Marii Grzegorzewskiej w Lublińcu, z pracowni Anny Bryłki. Obrazki malowane akwarelą, kredkami, kompozycje witrażowe, wycinanki, barwne kuguciki, motyle – wszystko świeże, dekoracyjne, z wyczuciem koloru. Piękne prace.

Już w czasie wystawy „Nadzieje plastyczne Częstochowy 2001” nagrodzone wówczas duże obrazy Anny Górskiej – jak mi się wydawało – świadczyły o wpływie twórczości Franciszka Starowieyskiego. Prace pokazane obecnie potwierdziły to wrażenie, przywodząc na myśl „Teatr rysowania”. Jednak nie ma tu diaboliczności, jest

dramat ludzki. Siła Michała Anioła też zdaje się inspirować artystkę. Ona sama mówi, że pociąga ją malarstwo materii, rysunki Grosza i artystów renesansu włoskiego, rzeźby hellenistyczne i malarstwo Boscha. Zaś najbardziej bezpośredni wpływ na jej rozwój artystyczny miała wystawa Aliny Szapocznikow w krakowskim Muzeum Narodowym. Przy tych wszystkich skojarzeniach całość jest własnym, oryginalnym dziełem, świadczącym o słuszności decyzji jury z roku 2001. Niezwykle ważna jest tu umiejętność rysowania postaci ludzkiej. Ta umiejętność – świadome śmiałe jej wykorzystywanie – stanowi podstawę osiągnięcia wielkiej mocy wyrazu.

Górną salę Galerii wypełniła spora ilość różnorodnych obrazów składających się na dwie wystawy: „I Forum Malarstwa Polskiego Lesko 2001” (Fundacja Malarstwa Polskiego w Lesku) oraz – przygotowana wspólnie z Małopolskim Biurem Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu i Galerią „Jatki” w Nowym Targu – wystawa „X lat w sztuce”.

Nieczęsto można w Częstochowie zobaczyć jakąś pracę Tadeusza Brzozowskiego. Także inni wybitni twórcy żyjący obecnie są tu reprezentowani. Na przykład – Marek Sapetto, jeden z twórców nowej figuracji (słynny tandem Szamborski-Sapetto). U Bogdana Wegnera z Poznania motyw przypominający „Morskie Oko” Wyczółkowskiego daje rzecz mocną, na którą patrzy się z prawdziwym zajęciem. Kolaże Grzegorza Pabla zawieszono obok obrazów Kazimierza Rocheckiego. Znakomite zestawienie. Jeden z tych obrazów – to „Pojednanie”. Przesunięta ku lewej stronie płótna postać Jezusa w czarnej szacie i białym płaszczu. Po obu stronach dwie grupy ludzi z aureolami. Jak apostołowie siedzący przy stole Ostatniej Wieczerzy. Jezus wyciąga do nich ręce. Ludzie z jednej grupy podejmują ten gest. Druga grupa, mniejsza, jakby się boczy, niepewna jak zareagować.

Jeśli ktoś na podstawie tych wystaw chciałby sobie wyrobić zdanie o działalności Miejskiej Galerii Sztuki (dawniej BWA), przygotowującej się do jubileuszu 25-lecia – byłoby to bez wątpienia zdanie bardzo pozytywne. Równoczesne otwarcie ekspozycji indywidualnych i zbiorowych, równowaga między prezentacjami środowiska częstochowskiego oraz artystów spoza naszego miasta; obecność znanych i młodych twórców; prace ważne pod względem artystycznym i intelektualnym – oto powody, które uzasadniają moje twierdzenie.

Władysław Ratusiński



Alexey Iutin

ZNALEZKA ZAGINIONEJ ARKI

NIECZĘSTO SIĘ ZDARZA, ŻEBY AUTOR PODZIWIANY w świecie i nagradzany za swoje dzieła fatygował się kilkaset kilometrów na otwarcie swojej wystawy. I to nie w stolicy, ale na prowincji. Tych, którzy w piątkowe, upalne popołudnie przybyli na wernisaż wystawy Alexeya Iutina, prezentującego w Galerii Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie swoje prace, spotkało szczęście poznania artysty ze Lwowa. Sympatyczny i skromny sześćdziesięciolatek, zdobywający laury na wielu wystawach fotograficznych, tak wzruszył się przyjacielskim przyjęciem, że, proszony o publiczną wypowiedź, nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Opowiadały jego fotografie pochodzące z innego świata, nie tego, na którym, w zgiełku, brzęcząc pieniędzmi, kupczy się dzisiaj fotografią. Prace drwiące z wymyślnych technik, prądów w sztuce, komputerów i całego tego targowiska, subtelnie wyrafinowane, wyłącznie w czerni i bieli, z gorzką ironią, czasem z humorem, przypominające straceńcom wsiadającym do mknącego pociągu codzienności, że istnieje inny wymiar rzeczywistości. Przebywanie w nim pozwala oderwać się od fascynacji tandetą i złem. Warto wspomnieć, że Alexey Iutin, zanim zaczął układać na fotografiach swoje opowieści, był przez wiele lat reporterem prasowym i telewizyjnym. Porzucił,

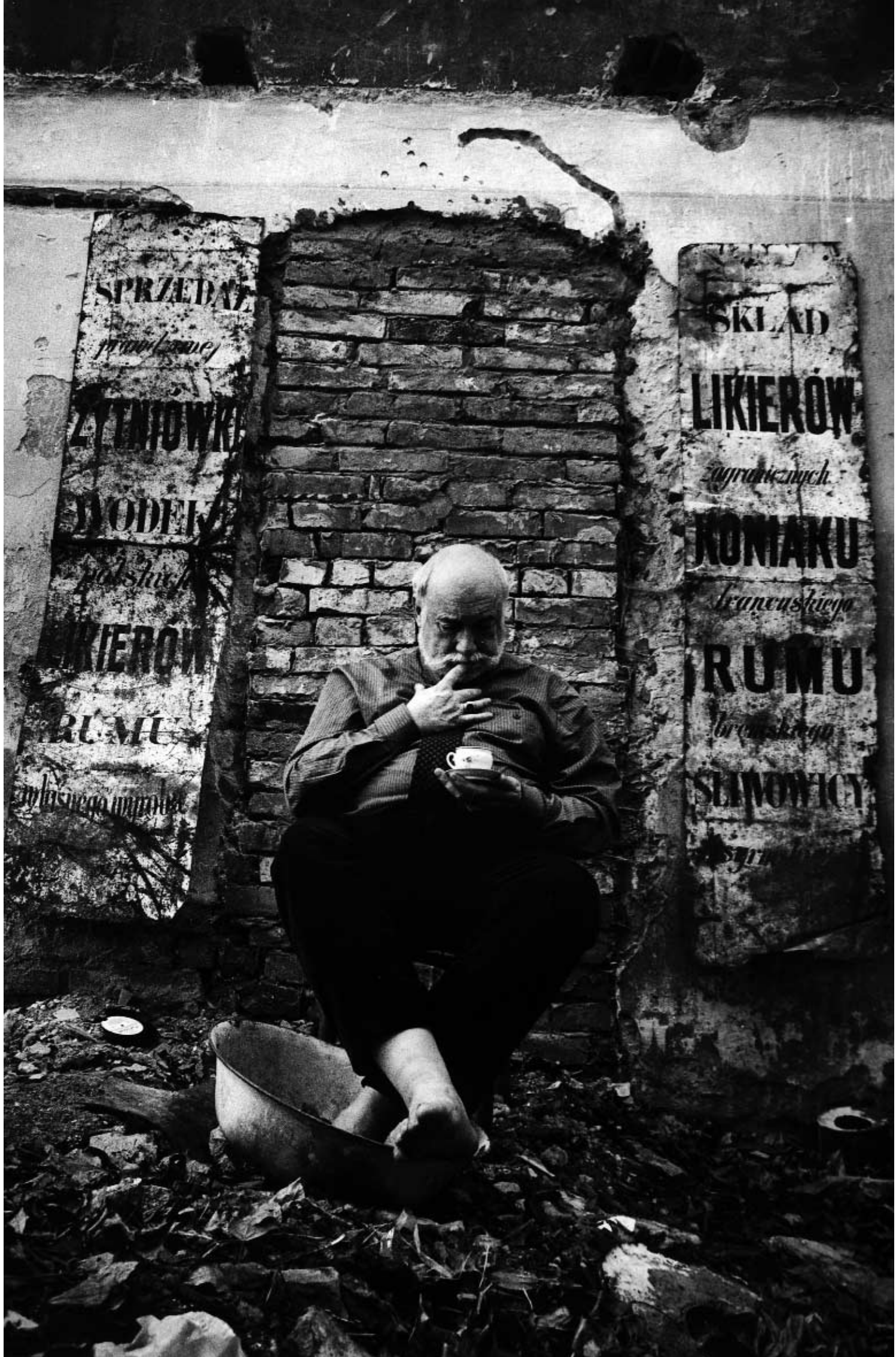
uprawiane dla chleba zajęcia, aby poświęcić się swojej pasji.

W wielu fotografiach autor odwołuje się do mitologii, a więc wzorów kultury klasycznej, które przeszczepia na grunt współczesny, z modelami i rekwizytami naszej epoki. A ponieważ potrafi swoimi fotografiami przekonywać, jest wielkim sztukiem, poetą i czarodziejem. Ponad 60 fotografii, które pokazał w Galerii ROK, wykonanych zostało w ciągu ostatnich trzech lat. Narzędziami pracy Iutina są dwa najnowsze nikony (FE i FM-2) z kompletem obiektywów. Modelami artysty są jego przyjaciele ze lwowskiej bohemy. Więcej problemów sprawia natomiast znalezienie właściwych miejsc do realizacji zamysłów fotograficznych. Jedną z fotografii, pt. „Ab ovo”, mającą w tle sztyldy z napisami w języku polskim, który funkcjonował we Lwowie ponad sześćdziesiąt lat temu, jest ewenementem. Takiego właśnie miejsca autor bardzo długo szukał.

Zawiadujący Galerią Sławek Jodłowski zapewnia, że artysta o zagadkowym uśmiechu i niewielkiej bródce Don Kichota za jakiś czas znów pojawi się w Częstochowie. Miejmy nadzieję. Alexey Iutin odnalazł wszak zaginioną Arkę i płynąc w niej ku nam, wraz z grupą przyjaciół, nieustannie fotografuje...

Janusz Mielczarek





„Ab ovo”



Arkadiusz Zajac „Oblakane sny (I 1092001AD)” – ołówek, akryl.